NUMER POŚWIĘCONY CONRADOWI

Rok VII. Warszawa, Październik 1932. № 8.

RUCH LITERACKI

WYCHODZI CO MIESIĄC, Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA
DZIESIĘĆ ZESZYTÓW TWORZY TOM

REDAKTOR Prof. Dr. BR. GUBRYNOWICZ

WYDAWCY GEBETHNER i WOLFF

JÓZEF CONRAD W KARDYFIE

Conrad mało podróżował po Anglji. O Kardyf zawadził tylko parę razy. Przygodne te wizyty układają się jednak w szereg epizodów, tworzących pewną całość. Przypadkiem rzucają też trochę światła — niespodziewanego z tej strony — na stosunek Conrada do Polski. Okoliczność ta rozszerzy nader wąski z pozoru zakres regjonalny niniejszego szkicu.

Dzięki biografji pośmiertnej Conrada, opracowanej przez p. G. Jean-Aubry'ego, znamy dokładnie datę pierwszych odwiedzin podróżnika w porcie kardyfskim. Było to w roku 1885, na rok zanim Conrad przyjął poddaństwo angielskie. Miał lat dwadzieściaosiem. Przed siedmiu laty po raz pierwszy objął służbę na statku angielskim, w dziesięć lat później miał się dać poznać, jako autor „Szaleństwa Almayera". Na wiosnę owego 1885 r., wyruszywszy z Hull na statku „Tilkhurst", dnia 31 maja zatrzymał się w Penarth, więc właściwie w Kardyfie. Okręt załadowano, poczem dnia 5 czerwca „Tilkhurst" ruszył w dalszą drogę — na ocean Indyjski i do Singapore.

W ciągu tych paru dni pobytu, Conrad zawarł znajomość z rodziną p. Spiridionów, z nazwiska rodowego Kliszczewskich. Skierował go do nich przypadkiem spotkany marynarz-ziomek, niejaki Andrzej Komorowski, z pochodzenia wieśniak z Królestwa, który przed kilku laty (w r. 1880 czy 1881) opuścił Polskę, umykając przed poborem. Tułał się w Niemczech, potem na jakimś statku przeszwarcował do Kardyfu, gdzie bez pieniędzy i znajomości języka znalazł się na bruku. Z niedoli wyratował go rodak, obywatel Kardyfu, Spiridion Kliszczewski, który z Polski emigrował po r. 1831 i po długiej wędrówce ostatecznie zamieszkał w stolicy Walji, gdzie otworzył sklep zegarmistrzowski. Przyprowadzonego przez policję chłopca, który wzbudził podejrzenie obcym wyglądem i wałęsaniem się bez celu (innych zarzutów nie podnoszono) — opatrzył ubraniem, znalazł mu zajęcie na statku i na drogę dał funta. Komorowski służył potem na statkach amerykańskich, ale do zawodu marynarskiego nie przystał, osiedlił się w Stanach i w Chicago przedzierzgnął w businessmana. We wspomnieniach Conrada upamiętnił się, jako jedyny ziomek wśród spotkanych w ciągu wielu lat kolegów marynarzy. Zetknąwszy się z Conradem w r. 1885, i dowiedziawszy się, że ten jedzie do Kardyfu, Komorowski poprosił rodaka o odwiedzenie Kliszczewskich i zwrot zaciągniętej przed laty pożyczki.

Emigrant Kliszczewski był wówczas już w wieku podeszłym, do tego schorowany. Sklep prowadził Spiridion Kliszczewski syn, który, podobnie jak później Conrad, za nazwisko angielskie przybrał własne chrzestne imię. Gdy Conrad znalazł się w mieszkaniu chorego Kliszczewskiego (który mieszkał przy ul. Duke St. 29 — dom ten później zniesiono) — w niedzielne przedpołudnie, obecny był przy tych odwiedzinach także wnuk gospodarza, mały Hubert Kliszczewski. Malec przyszedł właśnie odwiedzić chorego dziadka. Przy jego łóżku zastał nieznajomego gościa, cudzoziemca o ciemnej cerze. Dowiedziawszy się, że to kapitan Conrad, Polak, który niedawno przyjechał aż z dalekich wysp za Indjami, chłopak osłupiał, że ktoś, mający tak złą wymowę angielską, może dowodzić statkiem pod flagą brytyjską. Zaskoczyła go też dystynkcja marynarza — uprzejmość okazana nawet wobec malca. Myślał wówczas, że raczej szorstkość obejścia licuje z tym zawodem. Zdziwił się także, że zamiast świecącego cylindra, który zwykle nosili wtedy oficerowie marynarki handlowej, gość miał ze sobą miękki kapelusz filcowy. Gdy włożył go, wychodząc z domu, wyglądał, o dziwo, trochę jak duchowny anglikański. Z dziadkiem rozmawiał po polsku, rozmowa w tym języku dla wnuka była podówczas całkiem niezrozumiała. Chłopak i gość wyszli razem: pierwszy po lekarstwo dla chorego, drugi do domu. Wsiedli do muzealnej dziś, a na ulicach miast nieznanej dwukółki (hansom cab), i chwilę razem jechali. Nim chłopak wysiadł, Conrad wypytywał go o szkołę; malec nie przestawał się w duszy dziwić, że cudzoziemiec z tak złą wymową może być angielskim oficerem.

Ale wrażenie to ustąpiło, gdy po paru latach Conrad ponownie odwiedził pp. Spiridionów w Kardyfie. Tym razem zatrzymał się przez parę dni w ich domu. Hubertowi zdawało się, że Conrad o wiele lepiej teraz włada angielskim. Wyglądem też więcej przypominał poprawnie ubranego Anglika, nosił bowiem wełniane ubranie (z tweedu) i melonik. Nie zmieniła się kurtuazyjność jego manier. Oczom wychowanego po angielsku dziecka dziwnem się wydawało, że gość składa czasem pocałunek na ręce matki. Widocznem było, że między przybyszem a gospodarzem domu (ojcem Huberta) wywiązała się zażyłość. Byli mniejwięcej równi wiekiem. Józef Spirydjon Kliszczewski nie mówił biegle po polsku. Rozmawiano więc po angielsku, przytem dużo gwarzono o Polsce i o sprawach polityki międzynarodowej.

Przyjaźń ta, jak wiadomo, znalazła wyraz także w korespondencji. Listy Conrada z dalekich portów z radością w Kardyfie odbierał adresat, i lubił czytywać na głos synom. Te, które się dochowały, są to nieliczne znane listy Conrada z okresu morskich wędrówek.

Trzecia skolei, dłuższa od poprzednich, wizyta podróżnika - pisarza u pp. Spiridionów w Kardyfie przypadła po wielu latach, w grudniu r. 1896. Conrad zerwał już był z morzem. Miał za sobą powieści: „Szaleństwo Almayera" i „Wykolejeńca" („Outcast of the Islands"). Józef Spirydjon Kliszczewski przyszedł nawet z pomocą Conradowi przy wydaniu tej drugiej powieści. Wydawca (Fisher Unwin) zażądał mianowicie od autora złożenia 60 funtów tytułem gwarancji. Conradowi do skompletowania tej sumy zabrakło dziesięciu funtów; pożyczką posłużył Kliszczewski; zaciągnięty dług spłacił Conrad w parę miesięcy.

Przyjeżdżając do Kardyfu przed gwiazdką r. 1896, Conrad miał na warsztacie nowy utwór — powieść morską, w której właściwie dopiero „odnalazł siebie" jako pisarza. Przedtem w świecie fantazji nie mógł wyjrzeć z lądu na morze. Wyjątkiem byłby „The Rescuer" („Wybawca", — potem „The Rescue" — „Ocalenie") — ale nad tym utworem daremnie męczył się pisarz; miał go skończyć po dwiedziestu dopiero latach. W pierwszych powieściach bawił wyobraźnią na Borneo, na Celebesie. W rozpoczętym i zarzuconym utworze „The Sisters" wspomnieniami był pobiegł — na stepy ukraińskie. A wtem odbił z „Narcyzem" na ocean Indyjski, zobaczył „samotny okręt, płynący po lazurowem morzu". Przyszła wizja, nieporównanie konkretniejsza, niż poprzednie zarysy, pisarz znalazł lepsze niż dawniej słowo, a zamiast retorycznego patosu miał gotowe natchnienie liryczne.

Do Kardyfu przyjechał z rękopisem. Myli się Jean-Aubry, twierdząc (op. cit, I, 79), że jedyną przerwą w pisarskiej pracy w owym czasie była powyższa gwiazdkowa wizyta w Kardyfie. Przeciwnie, gospodarz do użytku gościa oddał specjalny pokój, gdzie autor mógł pracować w skupieniu. Skupienie istotnie potrzebne było Conradowi, który imaginował właśnie ostatnie, najpiękniejsze pewno, rozdziały powieści. Pracował i mieszkał w domu przy ul. Cathedral Rd., № 78. Wychylając się z okna, mógł widzieć długą, wysadzoną drzewami ulicę, składającą się z dwóch szeregów jednakowych will pseudogotyckich. Ze stereotypem architektury tej w oku, w myślach uprawiał swoje twórcze marzycielstwo.

Pochłaniało go ono zupełnie. W rozmowach z synami gospodarza streszczał wątek swojej powieści, opowiadał epizody. Bez zapału rozmawiał o innych tematach. Nie był to już ten sam przyjemny causeur, co dawniej. Stał się nieco kłótliwy, w dyskusji narzucał własne, mocno ustalone poglądy. Widać było, że po ciężkiej chorobie, przebytej przed kilku laty, zdrowie ma teraz nadwątlone. Dystynkcję w obejściu zachował dawną, ale (tak się przynajmniej wydało bratu Huberta, Klemensowi) — nie wyglądał dystyngowanie. Chodził mało; głowę najczęściej trzymał wtuloną głęboko między ramiona, te zaś podniesione nieco w górę; wyraz twarzy miał surowy. W intonacji i geście impulsywny, wydawał się podobny do Francuza raczej niż do Brytyjczyka; podobieństwo uzupełniała broda.

Zbliżyły się święta. Gdy zgromadzono się przy stole wigilijnym, rozmowa obecnych przeszła na sprawy ojczyste. Gospodarz — po angielsku, bo polszczyzną potocznie nie władał — zwrócił się do gościa z życzeniem. Niechby Conrad obrócił swój talent pisarski na rozsławienie imienia Polski i w powieściach wystawił nieszczęsny los ojczyzny. Prośba wzburzyła Conrada. Wyrzuciwszy ręce do góry, wybuchnął, zrazu w słowach francuskich:

— „Ah, mon ami, que voulez vous? I would lose my public..." Nie mógłby żyć z beletrystyki, gdyby chciał z niej zrobić narzędzie propagandy. Niemożliwe, żeby pisał o Polsce.

Dziwny ten wybuch dobrze zapamiętali obecni przy tej scenie synowie gospodarza, Hubert i Klemens. Możliwe, że epizod ten, mimo swej gwałtowności, nie utkwił na stałe w pamięci Conrada. Ale nie zapomniał o nim do końca życia Józef Kliszczewski. Odtąd zawsze żywił w sercu do Conrada głęboką urazę. Doszedł do przekonania, że w charakterze pisarza tkwi dziwna przekora, że Conrad był „perverse", — i tem mniej chciał

pisać o Polsce, że go o to proszono. Syn emigranta, wychowany na obczyźnie, zachował przecież dla kraju niezmiernie gorące przywiązanie. Był jednym z tych patrjotów, którzy nie mogą znieść żadnego krytycznego słowa o ojczyźnie. Zainteresowań literackich ani gustu do tych spraw nie miał wcale. Uważał za naturalne, że Conrad, jako autor - beletrysta, powinien służyć piórem ojczyźnie, w sposób informacyjno-propagandowy.

Po świętach Bożego Narodzenia Conrad został jeszcze przez kilka dni w Kardyfie. W każdym razie w bibljotece publicznej w Kardyfie, w księdze pamiątkowej z nazwiskami odwiedzających, podpis „Iph Conrad (Korzeniowski)" znajduje się z datą 30. XII. 1896. Prawdopodobnie Conrad wyjechał tego samego dnia, albo nazajutrz.

To wiadomo, że numer noworoczny dziennika miejscowego „Western Mail" nie doszedł rąk Conrada w Kardyfie. Wiadomość o pobycie pisarza w grodzie walijskim dotarła do redakcji gazety, której współpracownik, niejaki Arthur Mee (dziś nieżyjacy; nie należy go utożsamiać z obecnie piszącym popularnym publicystą) — odwiedził Conrada. Z odwiedzin tych wynikł artykulik we wspomnianym noworocznym numerze pisma (z dn. 1. I. 1897), godny pamięci z tego względu, że zawierał pierwszą w druku wzmiankę o węzłach, łączących z Polską autora „Almayer's Folly", i „Outcast of the Islands". Artykulik brzmiał (przekładamy go w całości):

NOWY POWIEŚCIOPISARZ O DICKENSIE

Zdanie p. Josepha Conrada o Dickensie

Przez kilka dni Kardyf gościł zdobywającego rozgłos powieściopisarza, w osobie p. Józefa Conrada. P. Conrad mieszkał jako gość u p. Spiridona (sic), w jego domu przy Cathedral Rd., gdzie odwiedził go przedstawiciel naszego pisma. P. Conrad jest autorem „Aylmer's Folly" (sic) i innych utworów, powieści jego wychodziły zarówno w odcinkach, jak w książkowej postaci. Jest brunetem, wzrostu wysokiego, wygląda zupełnie na Celta. Zapytany o pokrewieństwo między Celtami i Polakami, — sam bowiem jest synem tego nieszczęsnego uciśnionego narodu — odparł, że mają wiele wspólnego, bo taksamo wyróżniają się marzycielstwem, poetycznością i romantycznością usposobienia.

Sam p. Conrad wielu zaznał dziwnych kolei losu i przygód, co bezwątpienia przyda mu się teraz w jego obecnym zawodzie. Ojciec jego brał udział w akcji politycznej i (jak wielu współrodaków) — zesłany został na Syberję z rodziną; Józef miał wtedy trzy czy cztery lata. Najwcześniejsze wspomnienia swoje wyniósł przeto p. Conrad z najstraszniejszego ze wszystkich rozległych państw cara, i nic dziwnego, że wolny kraj nasz serdecznie admiruje. Gospodarz przytakuje mu z uśmiechem:

— Mój ojciec wiedział, co wybiera,—próbował osiąść w dziesięciu państwach pokolei. — Przedstawiciel nasz dowiedział się, że p. Conrad, jak wielu z jego współrodaków, przestał używać swego nazwiska, którego Anglik nie potrafiłby wymówić.

Po paru latach Conradowi pozwolono wyjechać z Syberji. Młodzieńcem Józef zaczął służyć na okrętach angielskich, w marynarce handlowej; dla odmiany przebywał też czas dłuższy w Afryce Środkowej. Był jeszcze marynarzem, gdy chwyciła go pasja pisania, i odkrył w sobie talent łatwego i potoczystego słowa. Przyjaciele zachęcili go do wytrwania na nowej drodze, a choć niemłody, gdy mówi o pisarskim rzemiośle, zaraża swoim zapałem.

W toku rozmowy p. Conrad wspomniał o tem, że w poniedziałkowej „Westminster's Gazette" napisano, że dziś moda od krytyków wymaga pogardy dla Dickensa. P. Conrad uważa, że z poglądem tym niewielu się zgodzi.

— Dickens — oświadczył — nie stracił na popularności. Trwała wartość jego — to nie talent karykatury (jak się wielu ludziom zdaje), ale ogromna prostota, i energja słowa. Sztuka jego niewyrafinowana, a umie bardzo subtelnie wyrazić człowieczeństwo. Mnie się zdaje, że Dickens nigdy nie przestanie być jednym z mistrzów: niepodobna go naśladować a o wiele bardziej zrozumiały jest dla mas, niż Thackeray. Nie przekształcił języka, ale

umiał użyć go inaczej, niż wszyscy przed nim. Nawet słabe strony Dickensa uwydatniają jego wielkość.

Zapytany, co teraz pisze, p. Conrad oznajmił, że pracuje nad powieścią morską w zupełnie nowym rodzaju.

Gdy przedstawiciel nasz wychodził, p. Conrad nie omieszkał oświadczyć, że ceni wysoko pismo „Western Mail" za jego żywość i oryginalność. Dodał, że w kołach, w których się obraca, jest to zdanie powszechne.

Wiadomości biograficzne na początku powyższego artykułu są, jak łatwo zauważyć, niezbyt ścisłe. Jakoż nie pochodzą od samego Conrada. Ten ostatni w rozmowie z reporterem nie mówił nic o swojej polskiej przeszłości. Danych biograficznych o gościu dostarczył dziennikarzowi na odchodnem sam gospodarz.

Oburzenie, z jakiem Conrad przyjął uzupełniony interwiew, było tak gwałtowne, że stosunki z domem Kliszczewskich prawie się urwały. Motyw był ten sam co poprzednio. Conrad uważał, że rozpowszechnienie się wiadomości o jego pochodzeniu jaknajgorzej wpłynie na poczytność utworów i wręcz poderwie materjalną podstawę bytu. Widział rzecz niesłychanie czarno, — tu mylił się w ocenie psychologji współczesnej publiczności angielskiej.

Szerokim kołom czytelniczym szybko stało się wiadome, że autor „Murzyna z załogi Narcyza", „Jutra", „Serca ciemności", „Lorda Jima" i innych świetnych i przez krytykę chwalonych utworów — nie Anglikiem jest a Polakiem. Zapewne, że informacja, podana światu przez dziennikarza z prowincji walijskiej, nie odegrała większej roli w uświadomieniu ogółu. Oświecili go wnet inni. Ale najgorsze stało się — a szanse autora nie ucierpiały. Nie był wcale zgubiony w opinji. Co musiał myśleć wtedy o motywach przesadnej ostrożności, które tak serjo wysuwał w Kardyfie? Stosunki z Józefem Kliszczewskim, mimo sporadycznie wymienianej korespondencji, nie wróciły do dawnej zażyłości. Zamknięty w sobie, gdy chodziło o sprawy sumienia narodowego, pisarz mógł widzieć rzecz i w dalszej perspektywie. Ważył w duszy te sprawy i gryzł się niemi do końca życia; nieraz próbował wytłumaczyć, że nie pogwałcił obowiązków względem ojczyzny, a sam siebie o tem nie przekonał. Na tle wspomnień o scysjach w Kardyfie, widzieć mógł ironję losu w tej okoliczności, że obcość pisarza pomogła mu tylko zdobyć estymę krytyków i zainteresowanie czytelników [1].

Warszawa. *Witold Chwalewik.*

---

[1] Autor niniejszego szkicu złożyć pragnie na tem miejscu serdeczne podziękowanie pp. Hubertowi i Klemensowi Kliszczewskim za udzielone ustnie informacje. Parę szczegółów zawdzięcza uprzejmości p. Moniki Gardner i p. Edwarda Garnetta. — Pozatem wymienia następujące materjały i dokumenty: List ś. p. Józefa Spirydjona Kliszewskiego (do aut. szkicu) z 20.VIII. 1930. — Trzy listy p. Huberta (Spiridiona) Kliszczewskiego (dtto) — z d. 22.IV., 17.IV., i I.V. 1931. — Wspomnienie pisemne tegoż, datowane 27.IV. 1931, w posiad. autora szkicu. — Rocznik „Western Mail" z r. 1897 (w bibljotece publicznej w Cardiffie). — Księga pamiątkowa z podpisami odwiedzających powyższą bibljotekę. — G. Jean-Aubry: Joseph Conrad. Life and Letters. William Heinemann. London, 1927. — Letters from Conrad. 1895—1924. Edited... by Edward Garnett. Nonesuch Press, London, 1928. — The Last Twelve Years of Joseph Conrad. By Richard Curle. Sampson, Low, London, 1928. — Pisma Conrada.

EWOLUCJA HEROIZMU U CONRADA

RZUT CHARAKTEROLOGICZNY

Zalśniony gniewem, złorzecząc obłudzie,
Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie.

Byron: ›Korsarz‹, przekład Mickiewicza.

Prof. Tadeusz Zieliński w pięknem studjum o Byronie [1], podał pewien schemat charakterologiczny, który częściowo mam zamiar wyzyskać celem oparcia na nim hipotezy ewolucji twórczej u Conrada w zakresie pewnego zespołu utworów, stanowiących zdaniem mojem „cykl wewnętrzny" i powiązanych wspólną ideą przewodnią. Ewolucję tę mógłbym, korzystając z terminów prof. Zielińskiego, nazwać: od heroizmu poprzez demonizm — do tytanizmu. Oto, co pisze prof. Zieliński o dwóch szeregach rozwojowych osobowości ludzkiej:

Rozwój i idealizacja osobowości ludzkiej przejawiać się może w dwojakim sensie. Ujmując te sprawy symbolicznie, możemy odróżnić osobowość palmy, od osobowości dębu. W pierwszym wypadku jednostka ludzka cała pochłonięta jest służbą jednemu celowi, jednej idei; wszystkie jej soki żywotne skierowane są ku temu, by karmić i chodować ten jedyny pęd; niech konieczność albo zbieg okoliczności unicestwi ten pęd, a wtedy i człowiek ginie, jak palma, której wierzchołek stał się pastwą burzy i wichury.

Rozwój takiej osobowości do ostatecznych granic możliwości ludzkich, daje typy ludzkie o charakterze h e r o i c z n y m. Idealizacja, przewyższająca owe ludzkie granice, przekształca typ heroiczny na d e m o n i c z n y.

W wypadku drugim człowiek usiłuje sharmonizować w sobie wszystkie twórcze siły ludzkie. Ideałem takiego człowieka jest to, co wyraził Terencjusz w głośnej maksymie: „nic ludzkiego nie może być mi obcem". Taki człowiek wiele w siebie wchłania, wiele przetwarza, ale i wiele doznaje porażek. Ale żadna z nich nie grozi zagubą, tak samo, jak nie obali, nie unicestwi dębu żadna wichura, czy orkan, chociażby nawet nadłamać miały nie jeden z jego konarów.

Szczytowym punktem takiego charakteru w ludzkiem środowisku i w ludzkich warunkach bytowania, będzie w pełnem znaczeniu tego słowa jednostka humanitarna. Jej idealizacja powyżej tych granic, idealizacja, mocą której jednostka chce wchłonąć w siebie ludzkość całą; czy, mówiąc słowami Fausta, jednostka pragnąca, „by wszystko to, co udziałem być może ludzkości, objęte było jej własną osobowością" — da typ t y t a n i c z n y.

Demonizm i tytanizm w ten sposób w sferze ideałów stanowią dwa przeciwstawne punkty graniczne w rozwoju osobowości. Każda zarazem twórczo rozwijająca się osobowość nosi w sobie zaródź jednego z tych dwóch ideałów; nosi je w sobie bezwarunkowo, gdyż jej ideał jest niczem innem, jak tylko zaczynodawczą myślą koniecznego, chociaż nieosięgalnego w rzeczywistości celu jej rozwoju.

I rzecz znamienna: owe zasady, które w teorji wydają się być przeciwstawnemi, antypodalnemi, w historji, czasem to bywa, stanowią etapy, następujące po sobie, człony ewolucyjnego procesu.

1. Dwoma nurtami płynie twórczość Josepha Conrada. Jednym nurtem jest epopeja żywiołu morskiego. W tej „morskiej" twórczości Conrada — bohaterem równorzędnym z morzem jest morza tego i wróg lojalny i pełen dla niego — jeżeli tak rzec można — „miłości obronnej" marynarz. Tematem głównym tej części twórczości Conrada jest walka dwóch żywiołów: żywiołu natury, z żywiołem osobowości ludzkiej. Twórczość „morska" Conrada jest nawskróś epicka, bezosobowa. Najpiękniejszym jej wyrazem jest unanimistyczny „Tajfun". W pewnym jednak momencie, już po zdo-

[1] „Filhelenizm Byrona". Warszawa. Odb. z Drogi.

byciu sławy, w latach 1898—1901, następuje w ewolucji twórczej Conrada dość nagły zwrot zasadniczy. Zasadnicze skrzyżowanie tej dawnej epickiej postawy, z nowo powstającym elementem dynamicznego dramatyzmu, który musiał mieć zapewne też podkład osobistego przeżycia. „Lord Jim", będący wyjawem tego skrzyżowania się linji rozwojowych stanowi, można powiedzieć, ekspozycję kilkoczłonowego, czy kilkoaktowego „cyklu wewnętrznego" — o ludziach tragicznie osamotnionych, zagubionych w świecie, którzy w wyniku takiej czy innej tragicznej winy nie mogą wrócić do swoich, ani wejść znowu „do szeregu". Coprawda, jeszcze i przed „Lordem Jimem", w smutnem „Szaleństwie Almayera" motyw bezpowrotności, zwłaszcza w zakończeniu powieści występował. Ale w tym pierwszym Conradowym utworze, pojawiał się jakby przelotnie. Mimo tytułu, główną sprawą utworu jest właśnie s p r a w a powrotu do swoich Niny Almayer: — „homo duplex", co się ze swej dwoistości duchowej — miłością do rasowego pobratymca wyzwala.

W szkicu schematycznie syntetycznym nie mogę się rozwodzić nad mało zresztą dostępną biograficzną podbudówką, a zwłaszcza nad udowadnianiem zależności między pewnemi faktami przeżyciowemi, a systemem symbolicznych obrazów zastępczych. Podam więc a priori (odkładając udowodnienie na później) pewien szereg faktów przeżyciowych, zachodzących w momentach wytwarzania się planów twórczych czterech utworów składających się na ów cykl wewnętrzny.

W dobie „Lorda Jima", w 1899 r., prawie przypadkiem czy na tle, rzec można, „schombergowskiej" plotki, rozegrało się na łamach „Kraju" petersburskiego dziwne widowisko z a o c z n e g o s ą d u nad wynaradawiającym się rzekomo Conradem—Korzeniowskim [1]. Relacja o tem zaocznem sądzie została przez jednego z „sędziów" — Elizą Orzeszkową, Conradowi do Londynu przysłaną. Jako człowiek nie zareagował. Ale musiał chyba wiele nad tym „sądem" przemyśliwać autor „Lorda Jima".

W dobie „Zwycięstwa" (1914—1915) wybuchła wojna pod obecność Conrada w Polsce. Już od 1885 roku, pesymistyczny i nieufny do „bezmyślnych band ludzkości" (słowa z listu do Kliszczewskiego [2]), wyczekiwał Conrad na światową katastrofę, rewolucję, załamanie się kultury europejskiej. Na sprawę Polski, też już od lat młodzieńczych nauczył się (może pod wpływem T. Bobrowskiego) patrzyć z bolesną beznadziejnością fatalisty. W dobie „Ocalenia" — w 1920 r., Polska odrodzona, budowała swoją państwowość. W Londynie zasiadał uwierzytelniony poseł nowego państwa. Rzeczywistość zadawała kłam fatalistycznym przeświadczeniom Conrada. W dobie „Korsarza", w 1923 r. zaczął się literacki powrót Conrada do kraju. Zaczęła się też owa, stwierdzona przez Galsworthy'ego, tęsknota za spoczynkiem wiecznym na łonie ojczyzny.

2. Ewolucja wewnętrzna twórczości Conrada (mam na myśli zespół utworów lądowych), odbywała się, jak powiedziałem, na podstawie schematu bardzo podobnego do byrońskiego: od heroizmu, poprzez demonizm do tytanizmu. Kto wie nawet, czy właśnie u Conrada owe zasadnicze wewnętrzne przeobrażenie, nie uzewnętrzniło się jaśniej niż u Byrona. Conrad umarł można powiedzieć „w porę". Starczyło czasu (tego wewnętrznego

[1] Por: P. Grzegorczyk: Z dziejów J. Conrada Korzeniowskiego w Polsce. RL VI, 1927, 5.
[2] Tęcza 1929, nr. 18.

czasu) na dopełnienie się wewnętrznej ewolucji, na przetworzenie się ideału jednego w drugi.

Lecz wpierw o tem, co prof. Zieliński ujmuje jako typ osobowości, którego symbolicznym obrazem jest palma. Tego typu ideał przyświeca stale „morskiej" twórczości Conrada. Celem życia Jima jest też bezwątpienia owo jednostronne, egocentryczne dążenie do heroizmu. A tragizm Jima w najgłębszym sensie można poprostu ująć w ten sposób, w jaki ujmuje prof. Zieliński niebezpieczeństwo grożące od burzy czy orkanu dumnej palmie. Jim cierpi moralnie właśnie dla tego i może tylko dlatego, że zdradził swój własny heroiczny ideał. Tchórzowskiem „wyjściem z szeregu" udaremnił sobie osiągnięcie jedynego celu życia. Żyje więc po to jedynie, by sam los zmusić niejako do dania mu okazji wyboru śmierci.

Zakończenie „Lorda Jima", ten właśnie triumf śmierci, może być traktowany jako „idealizacja przewyższająca ludzkie granice", znamionująca, według prof. Zielińskiego postawę demoniczną. W heroizmie przyjęcia śmierci przez Lorda Jima jest coś bezludzkiego, coś nawet z byrońskiej pozy na pierwszy rzut oka. Dla naszej rekonstrukcji schematu procesu twórczego, wystarcza stwierdzenie obecności momentu demonicznego w zakończeniu „Lorda Jima".

Dumna, niezawiniona, buntownicza samotność Axela Heysta w „Zwycięstwie" kończy się dość podobnym triumfem śmierci. Zanim jednak przyjdzie do tego zwrotnego punktu w postawie heroicznej demonizm zostanie ujawniony wyraźniej w „Sercu ciemności".

Wyraźnym przykładem osobowości demonicznej jest Kurtz z „Serca ciemności" Bardzo znamiennem jest to, że Conrad w stosunku do tej postaci, zajmuje niejako podwójną postawę. Czyni z niego równocześnie i potwora, tyrana czarnych i heroiczną jednostkę, zdolną do samozaparcia się całkowitego. Z typów conradowskich Kurtz najbardziej przypomina byrońskich korsarzy. Podobnie jak u Byrona, tak też u Conrada, postać tak potężna i odrażająca zarazem, miała wyrażać demonizmem protest przeciw małości otoczenia.

Widywałem — mówi dziejopis Kurtza Marlow (stale odgrywający rolę reprezentanta ideologji conradowskiej) — szatana przemocy: szatana chciwości, szatana pożądliwości — ale na Boga! — byli to silni, jurni szatani, o ognistych ślepiach, którzy rządzili i powodowali ludźmi — ludźmi mówię wam. Lecz... tam na zboczu wzgórza, pod oślepiającym blaskiem słońca, w tym kraju zapoznałem się z rozlazłym, kłamliwym, bezbarwnym djabłem, opiekunem drapieżnej ludzkiej głupoty...

Kreacja Kurtza stwierdza, że pesymizm Conrada i ten jego zaostrzony bardziej niż u Byrona sceptycyzm dynamiczny wzrasta stale. Tragicznie zawinione osamotnienie Jima zmienia się w buntowniczą ucieczkę ze świata, na bezludną wyspę tajemniczego Axela Heysta, który już po ojcu dziedziczy wzgardę dla wszystkiego co ludzkie. W takim „heroizmie bierności" jest wiele demonicznego. Axel Heyst — Samburański Hamlet, wyrzeka się wszelkiego czynu, by tą swoją wzgardliwą bezczynnością, owym świadomym wyjściem na zawsze z „ogólno ludzkiego szeregu", dać wyraz swemu poniekąd prometejskiemu protestowi, że światem rządzi okrutny, bezlitosny Los.

Chyba tak należy patrzeć na tę walkę z losem, która się rozgrywa na Samburańskiej wyspie. I chyba w tej wzgardzie biernego protestu Heysta, trzeba widzieć jego winę tragiczną, czy poprostu jego wyzwanie

mściwemu losowi rzucone. Tak postawione zagadnienie osamotnienia, stanowi krańcowy przejaw pesymizmu i sceptycyzmu.

W centralnym utworze cyklu wewnętrznego krzyżują się oba szeregi kreacyj heroicznych („palmowych"). Jim przeobraża się w Axela Heysta, ale równocześnie i Kurtz, po wyzwoleniu się ze wszystkich pozostałości humanitarystycznych, przeobleka się w ucznia szatańskiego — Jonesa. Panem Jonesa nie był chyba szatan rozlazły, kłamliwy, bezbarwny. W stalowo nieruchomych oczach Jonesa odnajdywał Heyst w tej pamiętnej scenie milczącego pojedynku na wolę, odnajdywał błyski tamtych ognistych ślepi. Niekonsekwentny w swej wzgardzie dla świata i nadświata, Heyst w Jonesie znajduje tragiczne swoje dopełnienie i zaprzeczenie zarazem: Jones — to paradoksalny sobowtór Heysta (coś na podobieństwo czarta Iwana Karamazowa), doprowadzający do absurdu jego wszechwzgardę. Jones to Heyst odczłowieczony maksymalnie. Tyle on tylko człowieczeństwa zawiera, ile potrzeba, by istniał realnie, na koszmar się nie zamieniwszy.

Stworzenie takiej dopełniającej się pary wzgardliwych samotników, jak również sama dialektyka ideologji „Zwycięstwa", dowodzi, mojem zdaniem, powstawania kryzysu postawy heroicznej u Conrada. Już od „Zwycięstwa" zaczyna się owo przechodzenie ideału heroicznego — w tytaniczny. I w tym wypadku, jak w wypadku ewolucji byrońskiej — demonizm był etapem przejściowym. W świecie doświadczeń i doznań przewalił się orkan wojny światowej. Ominął rodzinę Conrada, nie zabrał syna Borysa. Padła znienawidzona Rosja carska, zachwiały się Niemcy. Sława Conrada rozbrzmiewać zaczyna szeroko po świecie. Dochodzi do Ameryki, we Francji znajduje więcej wyznawców niż w Anglji. Powstała, wbrew wszelkim fatalistycznym przewidywaniom Polska, a wieść o jej szybkim rozwoju i krzepnięciu państwowem dociera do Anglji. Można wreszcie o dręczących problemach zapomnieć. Nowa rzeczywistość domaga się nowego ujęcia, nowego ustosunkowania do siebie.

Pesymizm Conrada zaczyna się przesilać. Symboliczną wypowiedzią przeżywanego przesilenia jest piękna „Smuga cienia". A potem powstaje najradośniejsza, najbardziej młodzieńcza, słoneczna: „Złota strzała", poświęcona wspomnieniom szczęśliwej „górnej i durnej" młodzieńczości. A przecież motyw osamotnienia i bezpowrotności, zagubionych na dalekich morzach i wyspach — powraca. „Ocalenie", może być traktowane, jako przesileniowy etap procesu przeradzania się heroizmu w tytanizm. Żadnych już tam śladów demonizmu nie znajdziemy.

Najbardziej charakterystycznemi dla poprzednich utworów były te, pod koniec akcji rozgrywające się, miażdżące rozprawy mściwego losu z opierającemi się mu bohaterami. Zakończenie „Ocalenia" jedynie jest smutne, choć nie beznadziejnie smutne. Bo nie złamała, mimo pozorów, pięknego radżę Lauta, ta ostatnia jego przygoda. Przygoda z tajemniczą rodaczką, która przypadkiem zawędrowała na tę odległą od świata kulturalnego morską mieliznę.

Gdyby i pani Travers miała być wysłańcem losu, jak ów zbir Brown w „Lordzie Jimie", czy para szatańskich pątników, jak Jones i Ricardo w „Zwycięstwie" — to przecie Lingard, w przeciwieństwie do tamtych, niczem sobą ciemnych potęg nie naraził. Smutek jego jest wynikiem innego rozeznania losu. Nie potrafiła dumna pani Travers „odczarować" Lingarda,

tak jak odczarowała Heysta, życie swe ofiarowując, Lena. Lingard nieodczarowany utracił tylko zdolność do romantycznej ułudy. Rozchwiało się piękne marzenie radży Lauta o tronach dla fantastycznych przyjaciół. Nie udało się temu romantykowi żyć marzeniem czynnem „usque ad finem”. Przybycie swoich uświadomiło czem była w istocie ucieczka w świat obcych spraw: uświadomiło heroicznemu Lingardowi, że istnieje cały jeszcze świat zapomniany bliźnich i bliskich, nie fantastyczny, nie romantycznie barwny, a przecież bardziej przyciągający. I w tej tęsknocie opuszczonego już teraz przez wszystkich Lingarda mieściła się zaródź Peyrolowego powrotu.

Lingard w przeciwieństwie do Heysta, nie przez brak konsekwencji ani też przez pozostały odruch współczucia dla ludzi — wikła się w sprawy obce. „Trwoniący życie dla sprawy, której nie wolno było istnieć w obliczu zorganizowanego postępu” — radża Laut, biały przyjaciel i lojalny sprzymierzeniec Hassima, przez swój konkwistadorski humanitaryzm jest antytezą demonicznego Kurtza.

A przecież i Lingard to jeszcze osobowość, którą zaliczyć trzeba do rzędu tych, dla których symboliczną formą idealną jest samotnie rosnąca palma. Między nim a ludźmi nie istnieje, czy nie istniała aż do przygody ostatniej, więź społeczna, jedynie mogąca wyzwolić z samotrzasku dumnej, romantycznej samotności. Pięknej duszy Lingarda, braknie jakiegoś elementu, zabezpieczającego przed wygaśnięciem. I dlatego, gdy tamto marzenie o tronie dla przyjaciela Hassima rozwiewa się i gdy jacht Traversów mija „Błyskawicę”, Lingard bezwolny, wygasły przed czasem, zezwala swoją „ruchomą ojczyznę” prowadzić Carterowi, którego pięknem swej duszy przyciągnął. Nie wiemy dokąd Carter „Błyskawicę” zaprowadzi. Jedno jest pewne, że ten zadomowiony w rzeczywistości marynarz angielski nie będzie chciał oddalić się od ukochanego kraju ojczystego na zawsze. Tam na lądzie stałym pozostawił swoich najbliższych. Więc może uzyskawszy całkowite zaufanie Lingarda, i jego i „Błyskawicę” zaprowadzi do swoich.

Dwojako można wyjaśnić symboliczną scenę śmierci starszego brata Lingarda, owego przezeń ożywionego niegdyś starca Jörgensena. Jako horoskop dla samego Lingarda, gdyby nie powrócił. Ale także jako ostateczne odcięcie Radży Lauta, od tamtych fikcyjnych, marzycielskich, obcych spraw. A głębiej sięgając, coś jakby już piękne pożegnanie autora z romantycznym mitem heroicznym.

Istotnie Carter mógł za zgodą Lingarda „Błyskawicę” skierować w strony ojczyste.

Peyrol-korsarz, czy poprostu morski włóczęga bezpański realizuje szaleństwo Almayera. Wraca na starość do kraju. Peyrol — wilk morski, nie natrafia na Almayerowe przeszkody. Nie związał się bowiem z nikim i niczem podczas dwudziestoletniej wędrówki. Jest wolny jak morska rybitwa. Peyrol-korsarz wraca, choć jak Jim, czuje gdzieś na dnie swej prymitywnej, elementarnej, a przecież głębokiej duszy, wyrzut sumienia. Swego korsarstwa się wstydzi, chce je zataić. I dlatego po powrocie szuka samotni jakiejś przybrzeżnej. Jedno go natomiast w sytuacji pociesza. Wrócił po rewolucyjnym przełomie. Wrócił do historycznie zmienionej ojczyzny. Wiele rzeczy straszniejszych niż jego korsarstwo miało tam ulec zapomnieniu. Sama historja zatrzasnęła drzwi nad przeszłością.

Osierocony w dzieciństwie, nieznający nawet ojca, podrzutek bez nazwiska, używający przezwiska Peyrol, jest bardziej samotnym niż Axel Heyst. Miałby on może więcej praw, do zapomnienia o ojczyźnie, niż syn filozofa-marzyciela, pokłóconego ze wszystkimi a także i z samym sobą. Zmęczony życiem szukający spokoju nie chce wtrącać się do ludzkich spraw. Ale ta obojętność nie jest wynikiem heystowskiego dumnego odcięcia się od świata. I Peyrol ratuje nieszczęśliwszą od Leny Arlettę, bezinteresownem odruchem męskiego serca. Wydobywa ją z toni szaleństwa, zdrowiem własnej duszy. Ratuje poto, by ją już uzdrowioną oddać innemu, młodszemu, posiadającemu większe prawa do szczęścia. Odczarowanie Arletty to jedno ze zwycięstw Peyrola. I to zwycięstwo okupione jest śmiercią wybawiciela.

Najbliższy bohaterowi „Korsarza" — jest może Lingard konkwistator romantyczny. Różni ich jednak sama postawa wobec życia. Korsarz prymitywny człowiek, możnaby powiedzieć, człowiek element, nie jest romantykiem. Może nim był, ale się już dawno z marzycielstwa wyleczył.

Nawet z tamtymi bohaterami epopei marynarskiej, ten bohater conradowski, stanowiący syntezę niejako całego conradowskiego pokolenia, ma wiele wspólnego. Gdy go widzimy na lawirującym stateczku, na czele swej dziwacznej dwuosobowej załogi, składającej się z kaleki beznogiego i unieruchomionego szaleńca, przypomina się bohatersko-naiwny kpt. Mac Whirr z „Tajfunu". A przytem Peyrol najbardziej, ze wszystkich kreacyj conradowskich przypomina korsarzy Byrona. Mickiewicz mówiąc o byronowskich korsarzach, żalił się, że za wcześnie i oni i ich twórca pomarli. Korsarz Conrada dorósł do swej, niemal tytanicznej śmierci. To, czego nie mogli uzyskać ci wszyscy zabłąkani na obcych lądach, dobrowolni i wygnani na pustkowia, do serc ciemności, do nieznanych przez siebie odkrywanych rzek i wybrzeży ci dumnie obojętni, lub romantycznie uwikłani w cudze sprawy — uzyskał on jeden, najprostszy człowiek. Dojrzał do śmierci już bezsprzecznie triumfalnej. Zasłużył sobie także na śmierć honorami rycerskiemi wieńczoną — eks-korsarz, a potem bohaterski kanonier napoleoński.

Danem jest nam być świadkami ewolucji duchowej tego prostego człowieka. Widzimy niemal jak to ziarnko gorczyczne świadomości narodowej, kilka zaledwie wspomnień dziecięcych, przechowywanych na dnie prostej duszy, rozrasta się w niebywały krzew dojrzałego, składającego w ofierze życie patrjotyzmu. On, który nic od ojczyzny nie dostał, nic ze sobą na włóczęgę po świecie nieobeszłym nie wziął, poza jednym uśmiechem matki konającej, ojczyźnie zwraca życie. A przecież ten wallenrodowy czyn Peyrola obywa się bez wpływu halbanowego wychowawcy, a co ważniejsze bez tamtego przedśmiertnego monologu, o swej dumie i szczęściu ze spełnienia czynu mścicielskiego. W tym dziwnym bohaterze narodowym, co do bohaterstwa dojrzewa odrazu, niema nienawiści. Nic też prawie niema zdrady. Jeżeli jest podstęp, to wynika on z wojennego planu. A nawet ta cząstka podstępu, oburza Conradowego Korsarza. By za nią dać zadośćuczynienie, Peyrol świadomie całkiem życie ofiarowuje. Co więcej, by już tym jednym czynem od miazmatów zemsty uratować innych, zabiera na stateczek swój szaleńca co nienawiścią zarażał.

Peyrol w naszych oczach wyrasta i podnosi się po szczeblach heroizmu, osiągając w momencie swej śmierci tego heroizmu najwyższy szczebel. A zarazem i twórczość Josepha Conrada, piewcy nieznanego Polsce żywiołu

morza i obcych Polsce motywów konkwistadorstwa wyspiarskiego — nabiera tonów klasycznego rasowo polskiego romantyzmu. Ideę patrjotyzmu „Korsarza" możnaby przeciwstawić idei czynu Wallenrodowego. Pokazano nam, jakby mógł wyglądać czyn bohatera narodowego, co nie żył w warunkach malborskiej niewoli, czyn wolny, a przez to samo pozbawiony pokusy zdrady, heroiczny czyn prostego człowieka co z krajem ojczystym związany jest tylko instynktem rasowym, kilkoma zapadłymi pod próg świadomości wspomnieniami dzieciństwa.

Tyle o ewolucji wewnętrznej motywu heroizmu w twórczości J. Conrada-Korzeniowskiego, — ewolucji, raz jeszcze przypomnę: od Almayerowego tragicznego marzenia o powrocie, poprzez zawinioną bezpowrotność Jima, buntownicze samotnictwo kosmiczne Heysta, — uwikłanie w obcych sprawach Lingarda, do realizacji powrotu po śmierć - zadośćuczynienie za korsarstwo Peyrola.

„Śmiały, twardy indywidualny człowiek ustał — pisał o zmarłym Conradzie Żeromski. — Musiał się zwrócić w naszą stronę, bo Polska tak jest w uczucia bogata, iż z jej objęć nikt, kto szlachetny się nie wyrwie". Prostą, Peyrolową odpowiedzią Conrada zdają się być słowa dumne, z listu jeszcze z 1903 roku (t. j. już po napisaniu „Lorda Jima"), mam na myśli słowa z listu do K. Waliszewskiego: „A jeśli Pan zechcesz uwierzyć mi na słowo i powiedzieć, że pływając po kuli ziemskiej, nigdy ani myślą, ani sercem od kraju się nie oddaliłem, to pewno zostanę przyjętym na stopie rodaka pomimo mej angielszczyzny..."

Powrót Conrada do Polski dopiero się zaczyna...

O jego przyjęciu świadczy wzrastająca poczytność jego pism i coraz to większy wysiłek poznawczy tych, co i myślą i sercem próbują te pisma zrozumieć.

Warszawa. *Rafał Blüth.*

JÓZEF CONRAD NA DRODZE DO POLSKI

1. Uchyleniem zasłony „polskiej tajemnicy", która przenika życie twórcze Conrada, zajął się Gustaw Morf w psychoanalitycznem studjum p. t. „The Polish Heritage of Joseph Conrad" (Londyn 1930). Wydobywa on polskość Conrada śmielej, niż krytyka polska, która na samym początku jakby utknęła na obrazie tradycji rodzinnej pisarza, zachowując rezerwę, zakreśloną słowami Żeromskiego [1], patrona studjów naszych nad Conradem: „Mamy jeden tylko środek zmierzenia wpływu Polski na duszę twórcy angielskiego: — zapoznanie się z jego światem rodzinnym, który chłopcu siedemnastoletniemu musiał być przecie znany dokładnie. Siła przeżyć rodzinnych, głęboko tragicznych, może będzie miarą tego impulsu do szukania czegoś innego, który młodzieńca z kraju wyrzucił na zawsze".

Ambicji narodowej nie wystarczają dowody polskości Conrada, wydobyte metodą psychoanalizy; uczucie patrjotyczne domaga się nadto faktycz-

---

[1] w „Wiadomościach Literackich", nr. 33 z dn. 17 sierpnia 1924 r.

nych danych. Jednym z dowodów polskości Conrada jest domniemana jego polityka w wyborze dzieł, oddawanych do przekładu na język ojczysty i objawiona w tem może próba metodycznego dzielenia się swoją twórczością z krajem rodzinnym.—O trzy lata wcześniej, niż wyszukała bibljografja [1], przyszła do Polski pierwsza wieść o Conradzie, a za nią, o siedem lat prędzej, niż wiedzą o tem krytycy polscy — pierwszy jego przekład.

„Józef Conrad, wydał w roku zeszłym powieść „Almayer's Folly" (Szaleństwo Almayera), która odrazu zwróciła na siebie uwagę krytyki. Obecnie wyszła druga jego powieść angielska, p. t. An Outcast of the Islands (Wygnaniec z wysp) osnuta na tle stosunków wyspy Celebes. Amerykańscy krytycy mianują ją arcydziełem tak pod względem formy jak i języka, autorowi zaś dają miano Rudyarda Kiplinga Malajskiego archipelagu. Właściwe nazwisko autora jest Konrad Korzeniowski. Urodził się na Ukrainie z ojca Apolla, znanego w naszem piśmiennictwie i matki z domu Bobrowskiej. Służył w marynarkach francuskiej i angielskiej. Z tej ostatniej wyszedł w stopniu kapitana. Osiadł w Traanswalu, gdzie wskutek zamieszek stracił majątek. Obecnie mieszka koło St. Malo".

Jeśli tych parę zdań, wyłowionych, jak butelka z wieścią o zaginionych na morzu, w krakowskim „Przeglądzie Literackim" (r. 1896, nr. 11), zdołało zaintrygować polskiem pochodzeniem Conrada, to jednak „Kipling archipelagu malajskiego" i arcydzieło formy i języka musiały budzić niewiarę.

Wiadomość nie pozostała, jak się zdaje, bez znaczenia. Oto w następnym zaraz roku ukazał się, może na jej skutek, pierwszy przekład powieści Józefa Conrada, p. t.: „Wygnaniec" (An Outcast of the Islands) w dodatku powieściowym warszawskiego „Tygodnika Mód i Powieści", Pisma Illustrowanego dla kobiet, w numerach od 1 (z dn. 2 stycznia) do 26 włącznie (z dn. 26 czerwca) 1897 r. Kto wpłynął na umieszczenie powieści w tygodniku? Czy inicjatywa wyszła od redaktora, zachęconego rozgłosem zagranicznym Conrada, o którym wspominały pisma polskie? Zapoznanie się ze sposobem prowadzenia pisma przez redaktora Jana Skiwskiego, nie daje żadnej wskazówki. Nie można też stwierdzić jakiegoś specjalnego zainteresowania się literaturą angielską, bo prócz małego wiersza: „Do jednej w raju" Edgara Poe, tłumaczonego przez Langego i nowelki Marka Twain'a: „Rozmowa przy stole", innych przekładów z angielskiego w tym roczniku tygodnika nie drukowano. Czy wyszła więc inicjatywa od tłumacza powieści? Możnaby o tem coś sądzić, gdyby jego osoba była znana, ukrywa się on bowiem pod literami: M. G. — „Józef Conrad — Wygnaniec — Powieść — Przekład z angielskiego — M. G." — tyle dowiadywał się czytelnik polski o autorze i jego tłumaczu. Na te nasuwające się pytania odpowiada syn redaktora „Tygodnika Mód i Powieści", znany literat p. Jan Emil Skiwski:

Ojciec mój, Jan Skiwski był swego czasu redaktorem kilku pism, śród nich „Tygodnika Mód i Powieści"—dziś już nie żyje. Kto był tłumaczem drukowanej w „Tygodniku" powieści Conrada, nie wiem (czy nie Gembarzewski?). Śladów korespondencji w sprawie tłumaczenia nie znalazłem i niestety trudno mi całą tę sprawę wyjaśnić, ze względu na to, że większość osób, które pracowały kiedyś w pismach Ojca, zmarło, bądź straciłem je z oczu. Co się tyczy, interesującego Szanownego Pana, pytania, z czyjej strony wyszła inicjatywa przekładu i jego umieszczenia w „Tygodniku", to sądzę, że chyba ze strony Ojca mojego, który często wyjeżdżał zagranicę i mógł pośrednio lub bezpośrednio skomu-

---

[1] Piotr Grzegorczyk: Z dziejów J. Conrada-Korzeniowskiego w Polsce. Ruch Literacki, nr. 5, r. 1927.

nikować się z Conradem. Wątpię, aby pisarz angielski, który wówczas zerwał wszystkie niemal z krajem stosunki, miał się ubiegać o drukowanie tłumaczenia swej powieści w piśmie warszawskiem. Z drugiej strony sprawą wyboru materjałów redakcyjnych, o ile pamiętam, zajmował się zawsze Ojciec osobiście.

Przypuszczenie, że Conrad sam starał się o umieszczenie swej powieści w polskim tygodniku, ma szanse pewnego prawdopodobieństwa. „An Outcast of the Islands" ukazał się w r. 1896, przekład zaś pojawił się już w styczniu 1897. Jak wynika z porównania dat, zbyt prędko następuje tutaj fakt tłumaczenia; możnaby więc suponować, że w sprawie publikacji w Polsce, zaszła może interwencja samego autora. Takich znawców powieściowych aktualności angielskich i dzisiaj jeszcze w Polsce niewielu. Tutaj zaś mamy wypadek niezwykły: możliwość dokonania przekładu z rękopisu, przed ogłoszeniem drukiem w Anglji. Podobnie były tłumaczone jeszcze w manuskrypcie z niemieckiego na polskie i wychodziły równocześnie w obu językach powieści Aleksandra Bronikowskiego, któremu także i z tego powodu wyznaczamy miejsce w dziejach powieści polskiej.

„Wygnaniec z wysp" jest drugiem skolei wydanem dziełem Conrada; wydarzenia, opisane jednak w tej powieści, toczą się na szereg lat przed historją, opowiedzianą w pierwszej drukowanej powieści, „Almayer's Folly", rozgrywającą się w tejże samej okolicy: nad pełnemi tajemnic falami rzeki Pantai i wśród znanego już niesamowitego grona osób. Przypuścić więc można, że na pierwszy ogień przekładów na język polski poszła druga z ogłoszonych drukiem powieści Conrada, ponieważ wymagała tego chronologja treści eposu o wyspach malajskich.

Autor przekładu językiem angielskim władał biegle. Tekst tłumaczył umiejętnie, trafnie i swobodnie, mając duży zapas słów na oddanie kolorytu lokalnego powieści; stanowczo większy, niżby można to przypuszczać u polskiego literata. Wątpić jednak należy, ażeby tłumacz korzystał z fachowych wskazówek samego autora. Przekład jest wierny, choć tłumacz nie starał się o dosłowność ścisłą przekładu, lecz przedewszystkiem o poprawność literacką stylu polskiego. Nieznaczne zmiany (w części I—III) wynikają z pobudek artystycznych i zmierzają do zwiększenia efektu. W tomie drugim (od cz. III, r. IV) wprowadzono znaczne skróty i obcięto boleśnie całe nieraz ustępy. Trudno rozstrzygnąć, czy był to pośpiech, by dobrnąć do końca powieści, czego żądała może redakcja, zniecierpliwiona, że powieść zbyt długo się przeciąga, czy też przekładu dokonywano z rękopisu, odbiegającego od tekstu drukowanego.

Ten sam kryptonim M. G. tłumaczył jeszcze inne dzieło Conrada: „Tajny agent" (w dwu tomach „Bibljoteki Dzieł Wyborowych", w Warszawie 1908).

Tajemnicę kryptonimu odsłonił wreszcie redaktor Bibljoteki Dzieł Wyborowych, ś. p. Zdzisław Dębicki. „O ile mnie pamięć nie myli — informował listownie — tłumaczką „Tajnego agenta" dla Bibljoteki dzieł wyborowych była p. Marja Gąsiorowska, kobieta już wówczas w starszym wieku. Co się z nią dzieje obecnie — po wojnie — nie wiem... ...Czy p. Gąsiorowska wymieniała jakie listy z Conradem-Korzeniowskim — tego nie wiem. W każdym razie przekład był jej inicjatywą, którą ja tylko, jako ówczesny redaktor Bibljoteki, gorąco zaaprobowałem".

Od p. Sajkiewicza z Hyży, p. Zamość, powinowatego Marji Gąsiorowskiej nadeszła wiadomość, że pierwsza tłumaczka Conrada od trzech lat

nie żyje, a na razie nie wiadomo, co się dzieje z jej papierami. Na tem ślady, które mogły doprowadzić do wykrycia ewentualnej korespodencji z Conradem, dotyczącej obu przekładów, niestety, urwały się.

2. „Na ukształtowanie się utworów w świadomości i odczuciu czytelnika, widza czy słuchacza wpływa przekonanie jego, kreślące zarys genezy dzieła. Mogą te zarysy być zgodne z prawdą historyczną, mogą też być błędne, nawet fantastyczne — nie zmieni to ich realnego znaczenia, nie odbierze władzy rozstrzygania, czy dzieło odczute będzie jako związane z życiem, jako szczere, jako mające piętno prawdy wewnętrznej. Do pełnego ujęcia dzieła należą obok samego tworu — twórca i fikcja genezy". J. Kleiner [1].

Niema żadnych śladów, jakie powodzenie znalazł w Polsce przekład powieści Conrada, która przenosiła naszą fantazję w kraj tak odległy.

Autor jej czekał ciągle na „powrót" do Polski. „Uważam sobie za szczęście i za niemały zaszczyt wracać do kraju (że się tak wyrażę) pod pańskiem przewodnictwem", pisał jeszcze pięć lat po wyjściu przekładu do przygotowującego o nim pierwsze polskie studjum, Kazimierza Waliszewskiego. „A jeżeli Pan zechce uwierzyć mi na słowo i powie, że, pływając po kuli ziemskiej, nigdy, ani myślą ani sercem od kraju się nie oddaliłem, to pewno zostanę przyjętym na stopie rodaka u nas, pomimo mojej angielszczyzny" [2].

Znalazły się dane, które lepiej, niż tylko „na słowo", świadczą o nieporzucaniu nigdy przez Conrada myśli o kraju, nawet w największem od niego oddaleniu. W tych latach, w których Conrad rozpoczął swe morskie wędrówki, wyspy Oceanji stały się przedmiotem pewnego zainteresowania społeczeństwa polskiego. W roku 1875 wydany został A. Korczaka: „List otwarty w sprawie założenia dla emigracji osady polskiej niezależnej w Oceanji" (Kraków 1875). Rok później, jako dodatek do powyższego listu otwartego, ukazał się, nakładem Korczaka i z jego przedmową, wyjątek z dzieła: „Das neue Buch der Reise und Entdeckungen" von Fr. Christmann und Richard Oberländer, p. t. „Gromada wysp Oceanu Spokojnego w Melanezji", przełożył Lucjan Długoszewski (Kraków 1876). W przedmowie do tego tłumaczenia, datowanej z Brukselli, pisze ów Korczak: „Zważając... niegustowanie publiczności w opisach geograficznych, a zamiłowanej w powiastkach, wielce pożądanem byłoby, gdyby się znalazł zdolny powieściopisarz, któryby w pozłacanych a ocukrzonych pigułkach dawał jej wiedzę geograficzno-etnograficzną Oceanji razem z jej historją przyrodniczą". Jakby na skutek tego życzenia ukazało się w piśmie warszawskiem jego spełnienie: przekład „Wygnańca" Conrada, przynoszący tyle cukru fantazji i szczerego złota poezji! Wiemy więc o jednym przynajmniej Polaku, któremu Conrad był potrzebny.

Był nim Piotr A. Wereszczyński, zamieszkały stale w Petersburgu. On to występował pod pseudonimem Korczaka i podpisywał fikcyjnie swoją rozprawę w Brukselli. Jako kryptonim J. B. R. wydał też broszurę w Krakowie, p. t.: „Mała Polska w Oceanji", rozdawaną darmo. Na wszystkie te wydawnictwa łożył własne fundusze, nie licząc się ani ze stratami pieniężnemi ani z niebezpieczeństwem, bo publikacje były bezwarunkowo

---

[1] „Krytyk jako twórca fikcji genezy". „Czas", z dn. 24.XII. 1931.

[2] Józef Conrad-Korzeniowski: Listy do Kazimierza Waliszewskiego. Ruch Literacki, nr. 6. r. 1927.

zakazane w Rosji przez cenzurę; w zamówionym przez niego przekładzie dzieła o Melanezji musiano z tych względów zmienić i drukować na nowo trzy karty.

W artykule: „Nieuwzględnione motywy decyzji życiowej Conrada" pisze K. W. Zawodziński: „Na oceany! Kto z nas nie śnił wówczas o podniesieniu bandery polskiej na jakimś statku, którego pokład stałby się nam wolną ojczyzną, jeśliby gdzieś na Pacyfiku nie udało się odkryć nieznanej wyspy, podstawy działań wojennych przeciw przemożnemu wrogowi" [1]. Owo „kto z nas" wywołało w zastosowaniu do Conrada sprzeciw, jako oparcie się na metodzie introspekcji [2]. Potwierdzeniem jednak powszechności pomysłu i tych marzeń jest Wereszczyński.

Kolonja polska na Oceanie — nie był to wcale pomysł Tartarina. Fantazja narodowa w najsmutniejszych chwilach kierowała się nieraz w dalekie bardzo strony i czepiała się rozpaczliwie najdziwniejszych pomysłów.

W roku ukazania się przekładu „Wygnańca" umarł na Ponope, jednej z wysp Karolińskich, głośny podróżnik, Warszawianin, Jan Kubary. Podróżował po oceanie Spokojnym, w celu zgromadzenia zbiorów do muzeum Godeffroy w Hamburgu. Był reprezentantem stacji przyrodniczej w Port Constantin na Nowej Gwinei. Jego opisy podróżnicze, drukowane w „Wędrowcu", „Ateneum" i „Tygodniku Illustrowanym", wpłynęły może także na umieszczenie przekładu „Wygnańca".

Na poetę oddziałać mogła zachęta wuja i opiekuna Tadeusza Bobrowskiego, który jeszcze w r. 1881 pisał do Conrada:

> Sądzę, że byłoby doskonałą rzeczą, gdybyś zaczął pisywać do warszawskiego „Wędrowca". Mamy bardzo mało podróżników lub nawet korespondentów tego rodzaju. Jestem przekonany, że to, co mógłbyś napisać, zainteresowałoby każdego a z czasem stałoby się dobrze płatne. Stworzyłoby to węzeł pomiędzy tobą a ojczyzną, a równocześnie byłoby aktem pietyzmu wobec pamięci twego ojca, który pragnął służyć i służył swemu krajowi piórem. Weź to pod rozwagę. Pozbieraj wspomnienia z twojej podróży do Australji i przyślij je w formie szkiców. — Adres „Wędrowca" jest znany w Warszawie. Sześć listów rocznie z rozmaitych krajów nie zajęłoby ci wiele czasu. Byłoby to miłą rozrywką dla ciebie i dla drugich..." [3].

Współpraca w tygodniku warszawskim miała więc być zaciśnięciem węzła z krajem rodzinnym i aktem pietyzmu wobec cierpiącego za sprawę polską ojca, którego „mścicielem kości" miał być Conrad. W świetle słów tego listu ogłoszenie przekładu wygląda na akt spełnienia obowiązku.

Zanotować trzeba jeszcze jedną podnietę: w roku poprzedzającym przekład, profesor Winc. Lutosławski odwiedził Conrada na wsi pod Londynem. Zadał mu wówczas pytanie: Dlaczego nie pisze po polsku? Czy ta wizyta nie była również jeszcze jedną pobudką do ogłoszenia bodaj przekładu?

3. Czynniki psychologiczne wspierają również hipotezę pewnej interwencji autora w umieszczeniu przekładu. Morf (The Polish Heritage of Joseph Conrad) dowodzi, że „Lord Jim" napisany został celem wyzwolenia psychologicznego, wyleczenia się z urazu zdrady i wytłumaczenie

---

[1] Wiadomości Literackie, nr. 29, r. 1927.

[2] Por. A. Prędski: „W sprawie Conrada". Wiadom. Liter. nr. 12, r. 1928.

[3] Jessie Conrad: „Moje wspomnienia o Józefie Conradzie", przekład J. Fuchsówny. Ilustr. Kurjer Codzien. nr. 23, r. 1930.

w własnych oczach czynu opuszczenia ujarzmionej ojczyzny. Myślał o tem już Stefan Żeromski [1]: „Czy utwór ten nie jest przypadkiem symboliczną spowiedzią? Czy pod formą, pod osłoną przypowieści o młodzieńcu nieszczęśliwym w stronach dalekich, borykającym się ze swem sumieniem, nie mamy tutaj wyznania o dziejach i przeżyciach duchowych innej zgoła natury? Czy nie jest to wymyślna historja innego, niż opisany, wewnętrznego procesu: — zapomnienia, pogardzenia, odtrącenia innych zupełnie obowiązków?“

W takim samym stopniu autobiograficzną jest wcześniejsza powieść o „Wygnańcu z wysp“. „Lord Jim“ to przecież powtórzenie i zarazem pogłębienie postaci Willemsa; owa wcześniejsza powieść była lekarstwem, po raz pierwszy zastosowanem celem wyzwolenia psychologicznego z urazu zdrady. Lekarstwo to trzeba było jeszcze powtórzyć. Może dlatego jako drugie dzieło swoje do przekładu na język polski przeznaczył Conrad nie „Szaleństwo Almayera“, lecz „Lorda Jima“, który wyszedł w dwu tomach Bibljoteki Dzieł Wyborowych, Warszawa 1904, w przekładzie i z przedmową Emilji Węsławskiej.

Utwór Conrada jest romantyczną powieścią o mękach zdrady i o śmiercią zakończonej miłości, która, jak każda namiętność, jest zawsze cierpieniem; nawet zaspokojona. Cementem spajającym rożnolite wątki powieści jest sprawa przyjaźni. Opiekun Wygnańca, Lingard zdaje się ją czerpać na sposób romantyczny stamtąd, skąd ma wszystko — z morza. Przyjaźń u Conrada to uczucie nie uwarunkowane żadnemi cechami przedmiotu, lecz płynące jedynie z wielkości duszy podmiotu. Uczucie takie nie może być niczem przerwane, bowiem „celui qui cesse d'être ami — ne l'a jamais été”. Tylko dzięki temu gatunkowi przyjaźni Lingard ratuje Willemsa-Wygnańca, kiedy za defraudację został wypędzony z firmy, a następnie i z domu własnego przez niekochaną żonę i jej rodzinę. Podaje dłoń ratunku Willemsowi, zawożąc go do samotnej faktorji handlowej nad niedostępną rzekę Pantai, gdzie osadził poprzednio swego zięcia Almayera (który ożenił się z przybraną córką Lingarda). Lingard pomaga nawet, wbrew swemu przekonaniu, do zawarcia węzłów małżeńskich, wyłącznie dlatego, iż tego żąda jego przyjaciel. Nie przestanie być też przyjacielem swego niewiernego wychowanka, kiedy on zamieni się w wroga białych i zdradziecko, pchnięty do czynu przez swą dziką malajską kochankę Aissę, zniszczy najukochańszą, russowską ideę Lingarda: arkadyjskie szczęście mieszkańców nad rzeką Pantai, dokąd nie dostali się jeszcze ani przewrotni ludzie z Zachodu ani przebiegli handlarze arabscy. Ile w powieści tej mowy o przyjaźni — tyle jest i o nienawiści. I tu odsłaniają się polskie elementy dzieła. „Choroba na Moskala” [2], odziedziczona po ojcu, zesłańcu z r. 1863, znalazła wyraz i w „Wygnańcu”. Rozważania malajskiego filozofa, Babalatchiego o ludziach białych kryją w sobie aluzje do stosunku Rosji do Polski, wystawiają bezsilność wobec ludzi „z rozrosłemi barki” i gniew, który bez możności ujęcia w czyn jest rzeczą próżną. „Cóż ja jestem, — rozpacza Oceanijczyk — żebym mógł się gniewać na białego

[1] Wiadom. Liter. nr. 33, r. 1924.

[2] Pisze o niej A. Zagórska: Kilka wspomnień o Conradzie, Wiadom. Liter. № 51. r. 1929.

człowieka? Cóż znaczy gniew, bez możności uderzenia? A wy biali, zabraliście nam wszystko, ziemię, morze, i moc uderzenia! I nic nie pozostało tu dla nas oprócz waszej sprawiedliwości, tej wielkiej sprawiedliwości, która nie zna co to gniew". A o walce stoczonej z białymi mówi Babalatchi do córki swego wodza: „Są potężni. W walce z nimi musimy zginąć. Ale jednak — dodał groźnie — niektórzy z was pozostali przy życiu". Powtórzony tutaj został zarzut Słowackiego w „Grobie Agamemnona", który mówi o Polsce: „gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych, zostaje smutne pół rycerzy—żywych". Kuzynka poety opowiada, jak właśnie ten wiersz— „zatargał Conradem dotkliwie i tak niespodzianie, że Conrad nie potrafił opanować i ukryć bolesnego wstrząsu", gdy mu go przeczytano w czasie ostatnich odwiedzin kraju rodzinnego.

Ciężar nienawiści, która nieraz była jedyną bronią przed zobojętnieniem dla kraju, stawał się często brzemieniem nie do zniesienia.

„On, jako biały — mówi Babalatchi o Willemsie, gdy umarł Omar, z którym tyle lat walczył z białymi — nie może słyszeć głosów tych, co pomarli... Powiedz mi, Tuan — dodał, wpatrując się badawczo w Lingarda — powiedz mi, czy wy, biali ludzie, słyszycie kiedy głosy niewidzialnych? — Nie! — odrzekł Lingard — bo ci, których nie możemy widzieć, nie mówią. — Nie mówią nigdy? I nigdy się nie skarżą głosami bez słów? — zawołał Babalatchi z niedowierzaniem. Może to być, albo też wy jesteście głusi... My Malajczycy słyszymy różne głosy w pobliżu miejsc, gdzie pogrzebano zmarłych. Dziś słyszałem... Tak słyszałem... Nie chcę już słyszeć nic więcej! — dodał nerwowo. Może być, że źle postąpiłem... Są rzeczy, których żałuję... Ciężko stroskane było jego serce, gdy umierał... Czasami myślę, że źle zrobiłem... ale nie chcę skargi tych ust niewidzialnych! Dlatego odchodzę stąd, Tuan. Niech ten niespokojny duch przemawia do swego wroga, do tego białego człowieka, który nie zna, co to obawa, ani miłość, ani litość — nie zna nic, oprócz wzgardy i gwałtu. Zbłądziłem! Źle postąpiłem! Hai! Hai!"

Można w tych słowach odczuć jakby wytłumaczenie, dlaczego Conrad odszedł z kraju ojczystego, w którym życie toczyło się w atmosferze mogił, gdzie wołał o pomstę grób jego ojca. — Conrad odszedł, bo „człowiek—jak mówi Szekspir—własnej tylko krzywdy mścić może i umie. Cudzej zaś krzywdy mścić nie potrafi, nie rozumie naprawdę i nie śmie, — mścić mu nie wolno. Krzywda ojca, to jest krzywda cudza".

Jako typowo polski jest również ten rys psychiki Willemsa:

Kiedy zboczył po raz pierwszy z prostej i wąskiej ścieżki uczciwości, wierzył silnie w niezachwiane swoje postanowienie powrotu na jednostajną, ale bezpieczną drogę honoru, byle tylko to małe zboczenie na przydrożne trzęsawiska, doprowadziło go do pożądanego celu. Miał to być krótki epizod — małoznaczny nawias w jego życiu — przygoda chwilowa, na którą się zdecydował niechętnie, ale nieodwołalnie—o której należało zapomnieć jaknajprędzej. Wyobrażał sobie, że potem — tak samo jak przedtem będzie mógł patrzeć na blask słońca, cieszyć się chłodem i cieniem, oddychać wonią kwiatów w małym ogródku przed domem. Wyobrażał sobie, że nic się nie zmieni...

Tok wypadków, przedstawionych w powieści miał obalić złudzenia Willemsa. Conrad rozwija tezę fatalizmu, pojętego, zgodnie z etyką chrześcijańską, jako nieubłagana konsekwencja własnych czynów. Jest to zagadnienie nieuniknionej kary, które znalazło klasyczne rozwiązanie w „Konradzie Wallenrodzie". A „Wallenrod" jest poematem, którego reminiscencje znajdują się w „Wygnańcu"[1]. Willems przypomina Wallenroda w tej

---

[1] Por. W. Chwalewik: „Czy Conrad jest pisarzem polskim". „Myśl Narodowa", nr. 39, r. 1926.

chwili, kiedy ten marzy o sielance po spełnieniu zbrodni zdrady. Przypomina się również z noweli Prusa (tak czytywanego i cenionego przez Conrada) ów lichwiarz, naiwnie ufający w niezamącone szczęście, zbudowane na okrutnej krzywdzie, wierzącej w możność przekreślenia całej przeszłości i zaczęcia w pewnej godzinie dobrego, pogodnego życia bez żadnej odpowiedzialności („Pałac i rudera").

I Conrad, dla którego jeden grzech: „smak niewinnych przygód — jak sam powiada — stał się gorzki dla podniebienia" [1], doprowadzając do zerwania z krajem, jeszcze w ostatnich chwilach życia spodziewał się, jak Willems, zawrócić na ojczyzny łono.

W etyce Conrada widoczne są narodowe znamiona, z których sam musiał sobie zdawać dobrze sprawę. Conrad walczy z wadą, która jest specjalnie polska, którą w sobie czuł, z tą lekkomyślną nieodpowiedzialnością i lekceważeniem przez sprawców dalszego deprawującego i niszczycielskiego działania zła.

Warszawa. *Jan Dürr.*

U ŹRÓDEŁ PUBLICYSTYKI JÓZEFA CONRADA

W modnych u nas od lat paru dyskusjach na temat stosunku Conrada do Polski, dyskusjach, w których rzadko zabierają głos istotni znawcy twórczości autora „Zwycięstwa", tak, że w rezultacie spadają one zazwyczaj na poziom banalnej gadaniny dziennikarskiej, pomija się — dziwnym trafem — te utwory Conrada, które na daną sprawę rzucają światło zupełnie wyraźne, mianowicie dwa jego artykuły o sprawie polskiej. Artykuły te, „War and Autocracy" (1905), i „The Crime of Partitions" (1919), stanowiąc bardzo interesujące pozycje w psychologicznej biografji Conrada, składają się, wraz z memorjałem „Note on the Polish Problem" i ładnym szkicem autobiograficznym „Poland Revisited", na wiązkę dokumentów, obok których nikomu, kto zajmuje się zagadnieniem „Conrad a Polska", nie wolno przejść obojętnie [2].

*

Artykuł „War and Autocracy", wywołany pogromem potęgi militarnej Rosji na Dalekim Wschodzie, jest właściwie głębokim essayem o caracie, o jego roli w życiu rosyjskiem, o pozycji zajmowanej przezeń w dziejach i polityce Europy zachodniej, o konsekwencjach wreszcie, które zadana mu przez Japonję klęska, musi dlań pociągnąć. Poza niepospolitemi zaletami artystycznemi, artykuł ten musi specjalnie zainteresować czytelnika polskiego zasadniczą postawą duchową autora, postawą, niespotykaną w publicystyce angielskiej, znaną natomiast doskonale z dziejów polskiej myśli

---

[1] „Some Reminiscences", str. 175.

[2] Obydwa artykuły weszły w skład tomu „Notes on Life and Letters" (1921), włączonego do wydania zbiorowego dzieł Conrada. Cytaty pochodzą z t. XIX „Works" Conrada („the Medallion Edition") Londyn, Gresham, 1925.

politycznej. Nareszcie! — nareszcie kolos rosyjski zachwiał się i niechybnie runie, nareszcie dotychczasowe stosunki polityczne w Europie ulegną radykalnej zmianie, oto naczelna cecha tej postawy. Uczucie ulgi i oczekiwanie innej a zdecydowanie lepszej przyszłości. Wojna bowiem położyła kres autokracji rosyjskiej, zadała śmiertelny cios systemowi, który był anomalją i hańbą nowoczesnej cywilizacji. Niesłychanie wnikliwa i sugestywna charakterystyka tego systemu podminowana jest zupełnie wyraźną pasją pisarską, płynącą z odrazy i nienawiści do opisywanego zjawiska. Wywody historyka i socjologa, usiłującego uchwycić podstawowe właściwości życia państwowego pod berłem carskiem, raz po raz przerywa, niby refren, poetycka wizja Rosji, jako stworu niesamowitego i wskutek tej niesamowitości budzącego nieledwie uczucie grozy. „Powiedzieć można, że wiek dwudziesty rozpoczyna się od wojny, która jest jakby wybuchowym fermentem moralnego grobu, skąd może jeszcze wyłonić się nowy organizm polityczny, by zająć miejsce olbrzymiego i przerażającego widziadła. Albowiem przez lat sto zmora potęgi rosyjskiej, rzucająca swym ogromem cień na obrady Europy środkowej i zachodniej, siedziała na grobowcu autokracji, odgradzając od powietrza, od światła, od wiedzy o sobie samych i o świecie pogrzebane pod nim miljony istnień ludzkich w Rosji“ (86). I znowu: „To straszliwe i cudaczne widziadło, najeżone bagnetami, uzbrojone w łańcuchy, obwieszone obrazami świętych, to coś nie z tego świata, stwór mający w sobie coś z mściwego upiora, coś z ślepego Dżinna, zrodzonego z chmury, i coś ze Starca Morskiego, spogląda na nas ze swą odwieczną tępotą, ze swą dziwną, mistyczną arogancją, oparte widmową stopą na grobowcu autokracji, zdruzgotanym już przez torpedy Togo i armaty Oyamy“ (89). I dalej: „Zniknęło wreszcie nazawsze, ale dotąd jeszcze niema Rosji nowej, by zajęła miejsce tego złowróżbnego tworu, który — powstawszy w wyobraźni szaleńca — nie mógł być niczem innem, tylko zmorą, siedzącą na pomniku strachu i ucisku“ (91). Kraina pod urokiem „złych czarów“ system, który „zatruł charakter narodowy jadem niewolnictwa, zaszczepiając w nim apatję i beznadziejny fatalizm“(98), „bezdenna przepaść, pochłaniająca wszelką nadzieję litości, wszelkie dążenie do godności osobistej, do wolności, do wiedzy, wszelki szlachetny poryw serca, wszelki zbawczy podszept sumienia“ (100), oto wiązanka formuł Conradowych, charakteryzujących Rosję, formuł, które mocno odbiegają od zwykłego inwentarza środków ekspresji publicystycznej. Specjaliści od rozdawania patentów na „wieszczów“ tytuł ten łatwo mogliby zastosować do pisarza, który, mimo wiary w postęp, nie wahał się twierdzić, że „dzielne i skrzętne państwa doby jutrzejszej może będą jeszcze zmuszone do walki o skórkę suchego chleba“ (106), o przyszłości zaś caratu mówił bez ogródek: „że autokratyczną Rosję spotka opłakany koniec, zgodny z jej marnem pochodzeniem i bezsławnym żywotem, to chyba nie ulega wątpliwości“ (111).

W rozważaniach tych, zdradzających na każdym kroku tę dla autora „Nostroma“ tak znamienną, sejsmograficzną iście czułość na wielkie wstrząśnienia społeczne, co właśnie obok świetnej formy podnosi artykuł do godności trwałego essayu, ostrze wywodów skierowane jest nietylko przeciw Rosji, ale również przeciw jej wspólnikowi i spadkobiercy, przeciw temu ośrodkowi autokracji, którego symbolem jest „orzeł niemiecki z pruską głową”, drapieżnie rozglądający się po Europie za zdobyczą. „Le

Prussianisme — voilà l'ennemi", temi słowy Gambetty kończy się artykuł o „Autokracji i wojnie".

Nie wiem, jakie czynniki bezpośrednie skłoniły Conrada do tego wystąpienia publicystycznego, w dostępnych mi bowiem tomach jego korespondencji nie znajduję o tem żadnej wzmianki. Nie umiem również powiedzieć, jak artykuł został przyjęty i czy był on normalnem zjawiskiem w publicystyce londyńskiej r. 1905 [1]. Wydaje mi się jednakowoż, że stanowisko Conrada nie było stanowiskiem publicysty angielskiego, jakkolwiek bowiem w artykule jest tylko nikła wzmianka o rozdarciu Polski i o jej terytorjach, jako kamieniu obrazy w przyszłych stosunkach Rosji z Niemcami, to jednak reprezentuje on poglądy typowo polskie. Wystarczy wskazać na analogję między jego myślą zasadniczą a ideologją „Róży" Żeromskiego, a zresztą do bliższego umotywowania swego poglądu przejdę nieco dalej.

*

Pobieżność wzmianki o Polsce w artykule z r. 1905 wytłumaczyć łatwo. Conradowi zbyt dobrze były znane realne kategorje angielskiego myślenia politycznego i zbyt górna była jego duma narodowa, by obnosić się ze „sprawą polską", która u zawodowych polityków wywołać mogła podówczas conajwyżej zdawkowe wyrazy współczucia czy nawet zgoła litości. Mówi on sam o tem, choć w związku z innemi wydarzeniami, w artykule o „Zbrodni rozbiorów", ogłoszonym w r. 1919, gdy sprawdziły się jego przewidywania, gdy Rosja upadła a Polska powróciła do życia wolnego. Z tą samą wnikliwością, z jaką poprzednio charakteryzował historję „samodierżawja", kreśli teraz dzieje „sprawy polskiej", tej sprawy, która od końca w. XVIII, od chwili zbrodni rozbiorczej, niby „duch, niepoprzestający na straszeniu złodziei w domu przodków, nawiedzał gabinety europejskie, nieprzystojnie powiewał skrwawioną szatą w uroczystej atmosferze sal rady, gdzie przy zamkniętych oknach zasiadały kongresy i konferencje" (119). Upadek Rosji przyniósł zasadniczą zmianę. „Z gruzów Rosji powstała ta rzecz zakazana, niepodległość Polski, nie jako mściwa postać, nie jako karzący cień zbrodni, lecz jako coś daleko bardziej trwałego, coś czego daleko trudniej się pozbyć, bo jako konieczność polityczna i rozwiązanie moralne" (128). Korzeniami swemi tkwi ta niepodległość nie w łasce Europy, lecz w charakterze narodowym Polaków, tym charakterze, który przez wiek cały potrafił oprzeć się niszczycielskiej przemocy, który rozwinął się wciągu lat tysiąca przez udział w życiu kultury zachodnioeuropejskiej, a którego dokumentem jest polityka wewnętrzna i zewnętrzna Polski przedrozbiorowej.

Znajomość tego charakteru narodowego stanowi dla pisarza gwarancję przyszłego rozwoju wolnej Polski. Ze zdumiewającem niemal jasnowidztwem kreśli on tutaj trudności nowego państwa i kontury antypolskiej polityki, której świadkami jesteśmy od lat kilku. „Trudności problemu jej (Polski) istnienia będą tak wielkie, że niepodobna będzie uniknąć błędów, a można być pewnym, że nie omieszkają skorzystać z tego sąsiedzi, by

---

[1] Sam Conrad oczekiwał, że artykuł wywoła dużą sensację i — jak widać z listów do przyjaciół przywiązywał dużą wagę do tego „proroctwa". Por. „Life and Letters" w wyd. G. Jean Aubry (1927), II. 1, 9, 12, 13, 18, szczególnie zaś listy do pp. Galsworthy, 21 i 28.

dyskredytować żywego świadka wielkiej zbrodni historycznej. Jeśli już nie faktyczne granice, to przynajmniej moralna całość nowego państwa stanie się napewno przedmiotem ataków. Antagonizm ekonomiczny pojawi się również w grze, gdy podniesie się produkcja światowa a współzawodnictwo odzyska swą potęgę. Napewno pojawią się skargi na zaborczość, zwłaszcza w stosunku do małych państw, wyrosłych z terytorjów dawnej rzeczypospolitej. A znana jest potęga kłamstw, które krążą odziane w wielobarwne szaty, gdy natomiast, jak wiadomo, prawda nie ma tego przywileju, wskutek czego tłumi się ją częstokroć jako sprawę niezupełnie stosowną do użytku codziennego" (133). I właśnie wiedza o charakterze narodowym polskim zgóry pozwala odeprzeć wszelkie ataki tego pokroju.

W porównaniu z namiętnym tonem artykułu dawniejszego, który godził w carską Rosję, „Zbrodnia rozbiorów" odznacza się spokojem, płynącym z głębokiego zadowolenia, że zasada sprawiedliwości w polityce zwyciężyła, że sprawiedliwość odniosła triumf nad gwałtem, choć równocześnie wyczuć w nim można bez trudu głęboką i pełną skupienia troskę o przyszłość odrodzonego państwa, o powodzenie tego, co tylko co było niedościgłym ideałem, a oto zmieniło się w żywe ciało.

*

Dla Polaka, który miał niejednokrotnie sposobność przekonać się, nieraz nawet w sposób bardzo dotkliwy, że to, co dla niego jest kamieniem węgielnym jego na świat poglądu, co przez ogół polski przyjmowane jest jako aksjomat, u przedstawicieli innych narodów budzi czasami poważne a zupełnie szczere zastrzeżenia, dla Polaka, który wyznawanym przez siebie zasadom z trudem musiał torować drogę do umysłowości odmiennych, najmniejszej nie ulega wątpliwości, że stanowisko Conrada w jego obydwu artykułach jest całkowicie i rzetelnie polskie. Argumentami, użytemi przezeń w stosunku do Rosji i Polski, mógł operować tylko Polak, wychowany w świecie idej politycznych, które myśl polska wytworzyła już we wczesnych latach wieku ubiegłego, a które ostatecznie sformułowane zostały w piśmiennictwie emigracyjnem po powstaniu listopadowem.

Ta, powiedzmy krótko, ideologja niepodległościowa nie była oczywiście dziełem ani jednego człowieka ani jednego momentu historycznego, lecz tworem kilku pokoleń, wykuwających jej dogmaty w cierpieniu i działaniu, a dokumentujących swoje do niej przywiązanie zarówno słowem jak czynem. Ideologja ta, jak wiadomo, stała się kośćcem myślowym poezji emigracyjnej i najpełniejszy wyraz otrzymała w dziele twórczem Mickiewicza. I już z tego choćby względu zrąb poglądów poety „Dziadów" można zastosować jako kryterjum przy ocenie stanowiska Conrada; okaże się zresztą, że wzgląd to wcale nie jedyny.

Cechą najcharakterystyczniejszą ideologji Mickiewicza było podniesienie zagadnień politycznych do poziomu spraw etycznych o silnem zabarwieniu religijnem, dzięki czemu jej wykład, „Księgi Narodu Polskiego" i „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego", stał się kodeksem etycznym wielu narodów, walczących o niepodległość i organizujących swe życie po jej uzyskaniu. Dzięki takiemu ujęciu antagonizm polsko - rosyjski był dla poety polskiego nietylko przeciwieństwem dwu czynników materjalnych, dwu narodów, lecz antagonizmem dwu światów duchowych, wyrosłych z zupełnie odmiennych założeń i rządzących się zupełnie odmiennemi zasadami, Rosja

zasadą przemocy, Polska zasadą wolności. Już w „Dziadach" drezdeńskich ta koncepcja zarysowała się zupełnie wyraźnie i tchnienie jej czuć w kończącym je „Ustępie", cyklu obrazów z życia rosyjskiego. Rosja dla Mickiewicza, to „kraina pusta, biała i otwarta, jak zgotowana do pisania karta", na której równie dobrze „palec Boski" może nakreślić, „że miłość rządzi plemieniem człowieczem", jak „Boga nieprzyjaciel stary" wyryć, „że ród człowieczy ma być w więzy kuty". Z dalszych obrazów wynikałoby, że nad tą „pustą, otwartą i dziką równiną", nad „polami białemi", z „morzem śniegów", zapanował szatan; stąd Rosja stała się parodją Europy za czasów Piotra, stąd jego następcy skierowali wszystkie swe wysiłki, by „przylewać kłamstwa w brudne gabinety, przysyłać w pomoc despotom bagnety, wyprawiać kilka rzezi i pożarów, zagrabiać cudze dokoła dzierżawy". W zetknięciu z tą atmosferą, w której despotyzm, scharakteryzowany w portrecie cara i jego wojsk, znających tylko „heroizm niewoli", stał się czynnikiem, duszącym życie, nawet zjawiska elementarne nabierają rysów demonicznych. Stąd wiatry, zwiastuny powodzi „już wytknęły głowy z polarnych lodów, jak morskie straszydła, już sobie z chmury porobili skrzydła, wsiedli na falę, zdjęli jej wędzidła, Słyszę!... już morska otchłań rozchełznana wierzga i gryzie lodowe wędzidła". Ten demoniczny charakter Rosji i jej stolicy, Petersburga, przejęty od Mickiewicza przez Puszkina, zarysowuje się również zupełnie wyraźnie w „Autokracji i wojnie" Conrada. Wiadomo zresztą, że refleksy mickiewiczowskich obrazów Rosji występują w powieściach Conrada [1]; w danym wypadku widziadło powodzi zapłodniło zapewne wyobraźnię powieściopisarza, by wydać ów suggestywny obraz państwa-upiora, reprodukcją zaś czy rekapitulacją mickiewiczowskiego opisu „Drogi do Rosji" wydaje się taka oto charakterystyka państwa carów: „Co uderza człowieka i napełnia strachem, to właśnie coś nieludzkiego w jej (Rosji) charakterze. Jest ona jak przywidzenie, jak klątwa niebios spadająca w mroku wieków na olbrzymie równiny lasów i stepów, niemo leżące na pograniczu dwu kontynentów: istna pustynia, w której niema miejsca dla ducha ani Wschodu ani Zachodu" (98). Nie chodzi tu zresztą o całkowite pokrywanie się obrazów Mickiewicza i Conrada, lecz o ich ton wspólny, o ich demoniczno-upiorne ujęcie.

Jak już wspomniałem, Rosji, krainie despotyzmu, niewoli, przeciwstawia Mickiewicz Polskę, jako odwieczną siedzibę wolności. Umiłowanie wolności okupiła ona upadkiem, królowie bowiem, zaniepokojeni wysunięciem wolności jako naczelnego hasła politycznego, zmówili się „Pódźmy i zabijmy ten naród", i dopuścili się zbrodni. Wolność ta zaś, proklamowana w konstytucji majowej była tylko uwieńczeniem wielowiekowej polityki narodu, którego „królowie i ludzie rycerscy nigdy nie napastowali

---

[1] S. Kołaczkowski, w artykule „Józef Conrad" (Przegl. Współcz. 1925) zaznaczył reminiscencje z „Drogi do Rosji" w powieści „Przez oczy Zachodu" (str. 260) i wskazał (256) na związek noweli „Pojedynek" z uwagą „Ksiąg Narodu" o wojnach, podejmowanych dla honoru, uwagą, do której wrócę nieco dalej. W. Chwalewik znowuż, w artykule przed kilku laty ogłoszonym w „Myśli Narodowej" (1926) stwierdził cytat z „Konrada Wallenroda" w „Szaleństwie Almayera". Do tego nikłego zasobu refleksyj lektury Mickiewicza w dziełach Conrada dodać można, że zakończenie „Zwycięstwa" zgonem Leny od kuli, przeznaczonej dla jej męża, i śmiercią Heysta w płomieniach, trawiących zwłoki bohaterskiej niewiasty, żywo przypomina śmierć Litawora i Grażyny i prawdopodobnie z poematem Mickiewicza pozostaje w genetycznym związku.

żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwa od pogan", którego „króle i męże rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem Wiary i Wolności. I nagrodził im Bóg, bo wielki naród, Litwa, połączył się z Polską... a nie było przedtem tego połączenia narodów". Analogiczny motyw, tak ważną rolę odgrywający w Conradowem ujęciu charakteru narodu polskiego brzmi: „Duch zaborczości był całkowicie obcy charakterowi polskiemu, dla którego zachowanie własnych instytucyj i wolności było daleko ważniejsze od pomysłów podboju. Wojny polskie były obronne i toczyły się przeważnie wewnątrz własnych granic kraju. Ekspansja terytorjalna nigdy nie była ideą przewodnią polskich mężów stanu. Konsolidacja terytorjów najjaśniejszej Rzeczypospolitej, dzięki której stała się ona na pewien czas pierwszorzędną potęgą, nie była dziełem przemocy. Była ona następstwem nie szczęśliwego napadu, lecz długiej i szczęśliwej obrony przeciwko najazdom sąsiadów ze wschodu. Krainy litewskie i ruskie nigdy nie bywały podbijane przez Polskę... zwolna dojrzały pogląd na potrzeby ekonomiczne i społeczne, nadewszystko zaś dojrzałe poczucie mas były tą pobudką, która skłoniła czterdziestu trzech posłów prowincyj litewskich i ruskich, kierowanych przez swego niezrównanego władcę, do zawarcia związku politycznego, jedynego w historji świata, do dobrowolnej i całkowitej unji państw suwerennych, wybierających rozmyślnie drogę pokojową" (119).

Analogij tego pokroju wskazać możnaby więcej. Zaliczyćby do nich należało i uwagę o różnicy między wojną dla idei, a wojną dla interesu, dla honoru czy zabawy, lub silne podkreślenie faktu, że Polska, zarówno przed utratą niepodległości, jak nawet w czasach ucisku, nie uciekała się do morderstw politycznych, jakkolwiek pogląd ten, odgrywający tak dużą rolę w „Kordjanie", nie z „Ksiąg Narodu Polskiego" się wywodzi, jednakowoż z tokiem i tonem ich całkowicie harmonizuje. Są one tak wyraźne i wymowne, że nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że duch Mickiewicza był źródłem natchnień politycznych w artykułach Conrada.

Znając atmosferę, w której przyszły twórca „Lorda Jima" spędził dzieciństwo i wczesną młodość, niepodobna się dziwić, że był on dobrze obeznany z tą ideologją, którą rodzice jego tak drogo okupili, zastanawiające jest natomiast co innego, fakt, że ideologji tej nie zapomniał Conrad na schyłku żywota, że głosił ją z całym spokojem niezachwianej pewności. Fakt ten rzuca nieco odmienne światło na polskość Conrada, aniżeli to się zwykle przyjmuje. Co niemniej ważne, świadczy on, jak dalece nasycona była niezrozumiałym dla Anglików romantyzmem psychika wielkiego pisarza, romantyczna bowiem ideologja polityczna najzupełniej harmonizuje z romantyczną etyką twórcy nietylko „Lorda Jima", ale również „Włóczęgi" (The Rover) i „Ratunku" (The Rescue), tą etyką, której związki ze światem duchowym polskiej poezji romantycznej dały się przecież zupełnie przekonywająco ustalić [1]. I na tem właśnie, niezależnie od ich wartości estetycznej, polega znaczenie obydwu artykułów Conrada, znaczenie w jego biografji psychologicznej.

Ryga. *Juljan Krzyżanowski.*

---

[1] Por. studjum M. Kridla o powieści „Lord Jim" (w „Przeglądzie Współcz." 1929)

M A T E R J A Ł Y

CONRADIANA

WIERSZ NA DZIEŃ CHRZTU KONRADA

Rękopis bruljonowy wiersza zawiera sztambuch, przechowywany w Bibliotece Jagiellońskiej, mylnie zinwentaryzowany jako własność Eweliny z Bobrowskich Korzeniowskiej. Jest to bowiem sztambuch nie matki, lecz babki Conrada. Świadczą o tem inicjały wyryte na skórzanej okładce: T. B. (Teofila Bobrowska), a bardziej jeszcze wiersz pierwszy do sztambucha wpisany. Nosi on tytuł „Modlitwa" a podtytuł: „1858, 5 marca w dzień św. Teofili". Zamiast podpisu mamy: „zacnej Matce w dzień jej imienia dzieci wdzięczne za swe szczęście ofiarują" A[pollo] E[welina]. Reszta wierszy, wpisanych do sztambucha, istotnie tyczy wyłącznie Eweliny Korzeniowskiej, to wiersze Apollona Korzeniowskiego: „Do Narzeczonej — już żonie" i in. Wiersz na dzień chrztu Konrada, a właściwie jego niewykończona redakcja, pióra również Apollona, mieści się na oddzielnych kartkach, włożonych do sztambucha:

PIOSENKA W DZIEŃ CHRZTU ŚWIĘTEGO

Synowi urodzonemu w 85 roku niewoli moskiewskiej

Dziecię-synu, śpij bez trwogi
Luli luli — Świat ten ciemny,
Tyś bezdomny i bezziemny,
Lecz śpij z Bogiem, boś ubogi.
Zdroje chrztu na ciebie płyną,
Boży-duch co w tobie drzymie
Jest już duszą i ma imię.

Luli synu mój, dziecino!

Dziecię synu śpij spokojny;
Tyś pod obcych dachów cieniem,
Dwoje serc tylko twem mieniem,
Jedno Krzyżem jesteś zbrojny.
Ale skarby te nie giną,
Świat-rdza Krzyża nie roztoczy.
Serca wierne — Zamknij oczy.

Luli synu mój, dziecino.

Dziecię synu, ja w tysiące
Pieśni, piosnek sen twój spieszcze;
Zaczaruję w cuda wieszcze,
Zaklnę w gwiazdy, w kwiaty,
[w słońce.

Piękno, Dobro na cię spłyną,
Na ich skrzydłach skołysany,
Świat ci stanie się świetlany.

Luli synu mój, dziecino.

. . . .[1]

Dziecię synu śpij — Chrzest płynie
Na twą duszę, na twe ciało.
Niebo, Boskość naokoło...
Błogosławią mej dziecinie.
Bądź Polakiem! Choć rozwiną.
Wrogi tobie szczęścia przędzę,
Odrzuć wszystko — kochaj nędzę.

Luli synu mój, dziecino.

Dziecię synu powiedz sobie,
Żeś bez ziemi, bez miłości,
Bez Ojczyzny, bez ludzkości
Póki Polska-Matka w grobie
Bo Rodziną twą jedyną
Ta Żałoba — ona wiarą
Ona pełną — choć ofiarą.

Luli synu mój, dziecino.

W związku z tym utworem przypomnieć trzeba, że zarówno pobudką do napisania wiersza na dzień chrztu, jak może i nadania symbolicznego imienia Konrada, mogły być fakty następujące: po pierwsze nadanie przez Kornela Ujejskiego synowi swemu imienia Kordjana, a po drugie wiersz Ujejskiego (mistrza Korzeniowskiego) p. t. „Modlitwa ojca przy chrzcie syna", zaczynający się od słów:

Czarny kir biorą dziecka jasne skronie
Żałobnym znakiem pokutnika słonią,
Krzyż mu podkładam, z którym będzie chodził;
I tak go niosą w świątyni przedsienia
Nowy niewolnik się zrodził...

---

[1] Zwrotki zdefektowane.

Bezpretensjonalna kołysanka Apollona Korzeniowskiego, choć zawierała i tamte patrjotyczne nuty, mogła być też pisana pod wpływem innego wiersza Ujejskiego, o wiele piękniejszego i bardziej bezpośredniego, noszącego tytuł „Po urodzeniu się Kordjanka", zaczynającego się od wzorowanego na „Trenach" motywu:

Ozłocił Pan wspaniale ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche,
Jedno dziecię, a weszło z niem tyle wesela...

Przypomnieć też nie zawadzi, że ojcem chrzestnym Konrada był naówczas głośny już i szanowany pisarz J. I. Kraszewski. Uroczyście go Apollon, na obrzęd chrztu zapraszał; w liście z listopada 1857 r.: „Dnia 21 Listopada t. r. Bóg mi dał syna. Oddaję go w sercu mem Opiece Bożej i pod tarczę błogosławieństw zacnych Poczciwych i zasłużonych w życiu — Ośmielam się prosić Pana o błogosławieństwo dla dziecka mojego. Zdaje mi się, ufam, że syn mój zacnym i poczciwym będzie, gdy na progu życia powita go i ugodni Krzyż ręką Pana i myślą nad nim położony..."

Dziękowali Kraszewskiemu oboje Apollon i Ewelina, która dopiskiem z przepełnionego szczęściem serca o mężu tak wspominała: „.. nie śmiałabym nigdy mem pismem trudzić Pana, ale zdaje mi się, że mąż mój to nie tylko dla mnie szczęście, ale także pewna w życiu godność i prawo..." (Z korespond. J. I. Kraszewskiego. rkp. Bib. Jag.).

Warszawa. *Rafał Blüth.*

R E C E N Z J E

MORF GUSTAV. The Polish Heritage of Joseph Conrad: A New Interpretation. London. Sampson Low, Marston and Co, Ltd. 1931. Str. 248.

Dla badacza dzieł Conrada kwestja dualizmu polsko - angielskiego stanowi może najpoważniejsze zagadnienie. Dotykano go nieraz pobieżnie. Autor szwajcarski, dr. Morf (nie wiemy zresztą, czy Szwajcar z pochodzenia, czy tylko z przynależności państwowej) — pierwszy ogłosił w roku zeszłym obszerniejsze studjum poświęcone temu jednemu zagadnieniu. Praca, częściowo będąca wynikiem sumiennych poszukiwań i badań, pod pewnemi zaś względami niegruntowna wcale, jest próbą prześwietlenia zagadnień conradowskich przy pomocy psychoanalizy. W świetle tem obraz polskich początków Conrada zupełnie inaczej wypadł, niż w jego własnem przedstawieniu. Zupełnie co innego uważał za ważne psychoanalityk, co innego pisarz-psycholog. Mimo gruntowności, z jaką uzasadnił dr. Morf niektóre swoje wywody, całość ich trudno uznać za cenny przyczynek do wiedzy o Conradzie. Zawiniła przedewszystkiem bezkrytyczność, z jaką, po pierwsze, zawierzył metodzie psychoanalitycznej, po drugie, przyjął za podstawę wniosków różne głupstwa i banały o cywilizacji polskiej i wogóle o różnicach między cywilizacjami Wschodu i Zachodu.

Znaczna część błędów autora pochodzi wprost ze zbyt małej wiedzy o Polsce, nie zaś z dowolnego operowania metodą psychoanalizy literackiej. Jak na cudzoziemca, dr. Morf miał pewne przygotowanie. Poznał ojczysty język Conrada; znalazł dostęp do pewnych dokumentów rodzinnych i przejrzał niewydany zbiór listów Tadeusza Bobrowskiego do Conrada. Niemniej podana na końcu książki bibljografja, a jeszcze więcej sama treść studjum, uprzytomnia, jak mało oczytany jest dr. Morf w literaturze polskiej, nawet w specjalnie obchodzącej go wąskiej dziedzinie studjów conradowskich. Lepsza znajomość tego przedmiotu spowodowałaby zniknięcie pewnych tez w rozdziale o „Ekspresji", np. sumarycznego rozstrzygnięcia (s. 206), że na styl Conrada wpływ wywarła potoczna jedynie, nigdy literacka polszczyzna. Wiadomo bowiem, że w pismach tego pisarza znaleziono (nieliczne, lecz wyraźne) reminiscencje polskiej poezji romantycznej. Dr. Morf znacznie przecenił różnice między potoczną i literacką polszczyzną. Są bodaj mniejsze, niż analogiczne różnice w angielszczyźnie. Podobną nieznajomością rzeczy tłumaczy się przypuszczenie, że Conrad, wyrywając się na morze, nie znał polszczyzny literackiej... Naturalnie u cudzoziemca złudzeniem (którego jednak dr. Morf powinien był się ustrzec) jest mniemanie, że słowa polskie są „bardziej dynamiczne" od francuskich czy angielskich (s. 208). Nic dziw-

nego także, iż wyrażenia polskie, utarte lub banalne, niespodzianą świeżość mogą zyskać w przekładzie angielskim. Pospolity skutek operacji, zwanej tłumaczeniem. Takimi transpozycjom z języka ojczystego styl Conrada zawdzięcza sporo uroku oryginalności. Co się tyczy techniki powieściowej, to trudno oskarżać Conrada (s.190) o „tok bezładny i niedbały... który w Polsce uważają za zaletę albo nawet przejaw wyższej sztuki" — gdy (jak w „Personal Record") pisarz idzie śladami Sterne'a i jego naśladowców. Cała kategorja nieporozumień powstała wskutek nieodróżniania między tem, co serjo, a co powiedziane tonem żartobliwym. Wydaje się np. krytykowi, że bohater noweli „Typhoon", kpt. Mac Whirr (z humorem i ciepłą sympatją narysowana postać) — traktowany jest przez autora „pogardliwie" (s. 124); na spostrzeżeniu tem oprze się teorja (jakże mylna), że wogóle cechy Anglika tego typu Conrad widzi jako „bez wyjątku ujemne". Dziedziczne rysy charakteru Conrada ustala dr. Morf, powołując się na urywki (przetłumaczone niezbyt dokładnie i z dowolnemi pominięciami) — z „Pamiętników" T. Bobrowskiego. Sądy pamiętnikarza przyjął bez korektury, i na nich zbudował konstrukcje psychoanalityczne, zapominając, że to pisze gawędziarz, prawdomówny, lecz z gustem do skandalu, rysujący swoją galerję postaci dla bliskiego koła znajomych, i że ci ostatni potrzebują tylko specjalnej informacji. Ani nie wziął pod uwagę antypatyj politycznych Bobrowskiego, których wpływ dostrzec można w charakterystykach Korzeniowskich. Conrad patrzył na rzecz z innej perspektywy, i nie jakieś stronienie od objektywizmu, tylko lepsze poczucie proporcji kazało mu inaczej rozdzielić światła i cienie w obrazie stosunków rodzinnych, naszkicowanym do użytku przyjaciela Anglika (E. Garnetta).

Co do tego nie można mieć żadnej wątpliwości, że los stryjów, Hilarego i Roberta, nie padł czarniejszym cieniem na duszę pisarza, niżby można wnioskować z jego słów własnych. Tragedję tę przesłoniła większa tragedja losów ojczyzny, niewierność dla niej był to problem okrutniejszy i bliższy. Nieprawdopodobnem jest wielce, aby pisarz, który z regularnym pietyzmem odnosił się do wszystkich wspomnień rodzinnych, „nienawidził w sobie tego, co miał z Korzeniowskich" — jak się domyśla psychoanalityk.

Szukając rysów dziedzicznych, przeoczył dr. Morf wcale uderzające podobieństwo między dwoma indywidualistami: Conradem i jego wujem, Tadeuszem Bobrowskim. Jeden i drugi, każdy po swojemu, okazali wielką niezależność w myśleniu i postępowaniu, jednakowo wierząc w „niewzruszone... prawa i obowiązki rozumu, krytycyzmu i wolnej woli, czyniące ludzi panami swoich losów i czynów" (Bobrowski: „Pamiętniki", II, 27).

Jeszcze mniej udało się krytykowi uwydatnić polskie (w odróżnieniu od dziedzicznych) rysy charakteru Conrada. Na przeszkodzie stanęło przedewszystkiem niedostateczne zrozumienie polskiego charakteru narodowego, w szczególności zaś nastrojów epoki powstaniowej. Przypuszcza np. dr. Morf, że przed sobą samym usprawiedliwiać mógł Conrad opuszczenie Polski tym argumentem: „nawet jeślim zdezerterował to było to za cara, a nie za republiki" (t. j. w wolnej Polsce). Dr. Morf nie wziął pod uwagę słów Conrada, które gdzieindziej cytuje (s. 193), że właśnie w dobie najsroższego nieszczęścia „ojczyznę trzeba było tak kochać, jak nigdy żadna inna nie była kochana". Tu zaliczyć można również tezę „I on (C.) byłby dobrym Polakiem, gdyby to wogóle było wtedy możliwe". (s. 219) Tu także zacytować wypada pogląd (jeden z podstawowych dla „nowej interpretacji"), że tkwiła w duszy Conrada instynktowna sympatja dla dążeń rewolucyjnych, którą bał się sobie jasno uświadomić „Conrad żongluje słowami" (s. 39), tłumacząc, że powstanie nie było ruchem wywrotowym, a udział ojca nie oznaczał uczestnictwa w takim ruchu... Dr. Morf myśli tak dalece państwowo, że ani rusz nie może wyobrazić sobie, że dla współczesnych powstanie było wojną z wrogiem zewnętrznym, zaborcą. Nie może zrozumieć, że psychologja powstańca była psychologją żołnierza i że nie dlatego Conrad uciekł na morze, że był to „najbliższy możliwy odpowiednik służby żołnierskiej" (s. 21).

Zasadnicze całkiem nieporozumienie tkwi w poglądzie na charakter cywilizacji polskiej. Autor powołuje się w odnośnym rozdziale na Freuda i Junga, także na przekupnego reportera (D'Etchgoyena), którego świadectwo o wschodniości Polaków poczytuje za autorytatywne. Niema natomiast wzmianki o poglądach historyków lub socjologów. Z rozmachem zato rozwinięta została koncepcja „wschodniości" na str. 112 — 3, 123 — 4. Wschód — to Polska, równie dobrze jak Japonja, Rosja jak Indochiny. Wszystkie te kraje zamieszkuje mianowicie człowiek — „wschodni" ze swego usposobienia. Również z różnic w obrębie cywilizacji zachodniej nie zdaje sobie autor sprawy. Dawniejszy i bardziej tradycyjny typ kultury europejskiej, dziś zachowany głównie w krajach rolniczych kultury katolickiej (a więc częściowo i w Polsce) — objęty jest pojęciami autora o „obyczajowości wschodu" i „wschodnim

sposobie życia". Zachód, to rzekomo tylko obszar cywilizacji przemysłowo-kapitalistycznej, dalszej od tradycyj kulturalnych średniowiecznej Europy...

Na tle fikcyj zarysowanych tak szeroko, zmalałyby całkiem inne przypadkowe nieścisłości, gdyby nie służyły za podstawę do hipotez, mających lepiej objaśnić nam Conrada. Tak np. w świetle tezy (s. 110), iż „religja katolicka..., zwłaszcza w Polsce, nie uznaje zasady, „czyń dobrze dla samego dobra" — ukażą się nam wpływy wychowawcze, urabiające duszę Conrada w dzieciństwie. Gdzieindziej (85) mistycyzm i „poczucie dziwności istnienia" wyróżni autor jako właściwości szczególne duszy „wschodniej", jakgdyby na Zachodzie nie wypływała z tych źródeł poezja. Gdyby klasyfikować według tego kryterjum, do jakiego świata należeliby: Blake, Shelley i Chesterton? Wschodniość Conrada probierz uwydatnia doskonale.

Zupełnie inna sprawa, to pytanie, co osiągnął dr. Morf przez zastosowanie psychoanalizy. Zysk stąd był głównie ten, że postawiono hipotezy bardziej skomplikowane na miejsce prostszych. Niezawsze jednak na tem się kończyło. Wysuwały się bowiem wnioski stanowczo błędne tam, gdzie konstrukcje psychoanalityczne oparły się na fantastycznej socjologji. Zachodzi to np., gdy autor domniemywa, jak Conrad, zwalczał w duszy tę „wschodniość", której w sobie nie czuł. Nie wyobraża sobie, żeby w Conradzie elementarne być mogły impulsy, normalne u „dziecięcia rycerskiej a nie barbarzyńskiej kultury" (jak sam C. o sobie pisał). Niby tylko wskutek zawikłanych procesów psychicznych mógł C. współczuć nieszczęśliwym, gardzić podłością albo czcić bohaterstwo... Takie pojmowanie natury procesu poetyckiego ukaże nam wiele z prawdziwego Conrada. Bezwątpienia, wiele wyłoniło się z „kompleksu winy"; ale napewno nie był to główny motor twórczości. Największą może wadą psychoanalitycznych teoryj dr. Morfa jest symplistyczne wyobrażenie o roli podświadomości. Nie bierze autor wcale pod uwagę skrytości, dumy, powściągliwości Conrada. Do podświadomości trudno dotrzeć, przenikając wgłąb tak płytko. Że pomysły Conrada kształtowały się na podłożu głębokich przeżyć osobistych, to pewna. Że szczegóły obrazów brał wprost ze wspomnień, to oczywiste. Ale cały ten autobiograficzny materjał na warsztacie przetwarzał swobodnie: nie inna była jego metoda. Dopatrywać się tedy symbolicznego znaczenia w drobiazgach, znaczy to zapoznawać realistyczny charakter tej sztuki powieściopisarskiej, i ważyć się na takie wnioski, jak ten np. (w rozbiorze „Lorda Jima"): „Tonący okręt — to Polska. Nawet nazwy są podobne: Patna — Polska... Maszyny przestały działać — czyli że niezawisły rząd polski przestał istnieć" i t. d.

„Nowa interpretacja" nie zbliży nas do pisarza, który sam siebie nazywał „dobrym Europejczykiem, nie w płytkiem kosmopolitycznem rozumieniu, ale z dziedziczności długiej, z krwi i kości" [1].

Warszawa. *Witold Chwalewik.*

DYBOSKI ROMAN. Żywioł morski w twórczości Józefa Conrada. (Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego). Toruń 1932, str. 25.

Bardzo pięknie, jasno i przejrzyście napisany, a wydany bardzo starannie odczyt prof. Dyboskiego rozpatruje jeden z najistotniejszych problemów w twórczości Conrada, stosunek powieściopisarza do morza, równocześnie zaś potrąca o cały szereg innych zagadnień, z problemem tym związanych. Wychodząc tedy od sprawy „odstępstwa" Conrada od tradycyj sfery polsko-ziemiańskiej, którą wyjaśnia słowami samego autora „Wspomnień osobistych" o tajemniczych sprzecznościach natury ludzkiej, wspomina o stosunku pisarza do Anglji, gdzie znalazł on „home", którego w Polsce znaleźć nie mógł, szkicuje tematy polskie w dziełach Conradowych, mówi o karjerze jego morskiej, wreszcie szczegółowo przedstawia stosunek powieściopisarza do morza. Młodego chłopca pociągał urok przygód marynarskich, malowniczość życia na morzu, z biegiem czasu jednakowoż „stosunek Conrada do morza zrównał się i skojarzył z jego stosunkiem do świata ludzkiego i życia... pierwotny zachwyt dla morza z konieczności przeistaczać się musi w walkę z niem jako wrogą człowiekowi siłą" (12).

Uzasadnieniem tego ujęcia zagadnienia jest środkowy rozdział szkicu „Morze, marynarze i okręty w twórczości Conrada". Omawia w nim autor dwa tylko utwory Conrada, „Zwierciadło morza" i „Smugę cienia". Rysuje się w nich zasadnicza postawa pisarza, jego prosty a bardzo głęboki stosunek etyczny do świata, stosunek, którego wyrazem staje się bohaterskie zmaganie się człowieka-marynarza z żywiołem-morzem. „Conrad od młodocianego zachwytu dla morza, jako widowni wymarzonych przygód i dziwów, przeszedł do poznania złej i niszczycielskiej siły morza i do wiary w człowieka, który tej sile przeciwstawia siłę swego rozumu i swojej wo-

[1] List do Ernsta Bendza z dn. 7. III. 1923. (Aubry, „Life", tom II, s. 295).

li". Z tego właśnie stanowiska ocenić należycie można „Smugę cienia", opowieść, „w której młody kapitan walczy ze straszliwą ciszą morską i pokonywa straszliwszą jeszcze ciszę bezwładu moralnego, wkradającą się na jego okręt i do jego własnej duszy" (19). I jeśli „Zwierciadło morza" jest „encyklopedją marynarską, to „Smuga cienia" stanowi „katechizm etyki osobistej marynarza", jest „najbardziej może skończonym pomnikiem", wystawionym przez Conrada „heroizmowi walki i heroizmowi samotności, do których zaprawia człowieka życie morskie" (25).

Tak ujęta zasadnicza postawa etyczna autora „Lorda Jima" doskonale wprowadza czytelnika w świat twórczości Conrada i na tem ujęciu opiera się duża wartość odczytu. Ujęcie to budzi oczywiście pewne zastrzeżenia, wydaje mi się mianowicie, że świat etyczny pisarza angielskiego uległ tu nadmiernemu uproszczeniu, tłumaczy się to jednak charakterem odczytu popularnego, odczytu, w którym chodziło o wzbudzenie zainteresowania dla lektury Conrada. Uproszczenie to polega na braku rozgraniczenia między Conradem - marynarzem a Conradem-powieściopisarzem, na zidentyfikowaniu doznań osobistych człowieka i doznań tych, jako tworzywa literackiego, zobjektywizowanego przez pisarza. Rozgraniczenie to musiałoby oczywiście przekształcić popularny szkic we wnikliwe studjum psychologiczne.

Wracając jednak do samego odczytu i jego założeń, warto może było ze względu na słuchaczy, przytoczyć dwa urywki z dwu innych utworów Conrada. Jeden z nich, to ustęp szkicu „Odwiedziny Polski", gdzie Conrad mówi o morzu Północnem, jako swej końcowej szkole żeglarskiej przed puszczeniem się na rozleglejsze oceany, o morzu, z którem wprawdzie nigdy bliżej się nie spoufalił, którego gniewny szum pozostał jednak nazawsze w jego uszach. A drugi, to charakterystyka załogi angielskiej na pokładzie płonącej „Judyty" w noweli „Młodość". „Nie było to poczucie obowiązku... Nie, było w nich coś wrodzonego i subtelnego i wiecznego. Nie chcę twierdzić stanowczo, że załoga marynarzy francuskich lub niemieckich nie zrobiłaby tego, wątpię jednak, czy zrobiłaby to w taki sam sposób. Była w tem jakaś doskonałość, coś tak mocnego jak zasada i coś niezawodnego, jak instynkt, odkrycie czegoś tajemniczego, tego czegoś skrytego, ten dar dobra czy zła, który tworzy różnice rasowe, który kształtuje losy narodów". Oświadczenie to podobnie jak końcowe ustępy „Zwierciadła morza" wymownie świadczą, że Conrad w Anglji widział i cenił coś więcej, aniżeli zaciszny „home". Analiza tej sprawy zaciemniłaby jednak może przejrzystą i naprawdę bardzo piękną linję konstrukcyjną prelekcji profesora Dyboskiego.

Ryga. *Juljan Krzyżanowski.*

DYBOSKI ROMAN. Pierwiastki angielskie a pierwiastki polskie w umysłowości Conrada. Kraków 1933, s. 11. Odb. z Księgi pamiątkowej ku czci prof. M. Zdziechowskiego.

Prof. Dyboski zajmuje się w syntetycznym szkicu powyższym, ważnem i ciekawem zagadnieniem zwrotu Conrada właśnie do Anglji, a nie do innego narodu, i stawia w związku z tem następującą tezę ogólną: „Conrad był psychicznie ›Anglikiem od urodzenia‹, to znaczy, że pewne rysy charakterystyczne jego osobowości zgadzały się z pewnemi zasadniczemi cechami charakteru narodowego Anglików i w ten sposób predysponowały go niejako na obywatela Wielkiej Brytanji i na pisarza angielskiego". Do tak śmiałej tezy, która ma fenomen conradowski, jeżeli nie wyjaśnić, to ściślej niż dotychczas określić, doszedł autor drogą zastanowienia nad definicją indywidualności pisarskiej Conrada: Conrad jest realistą lecz zarazem w sporej mierze romantykiem. A właśnie łączenie realizmu z romantyzmem stanowi wybitną i powszechną cechę literatury angielskiej. „Jeżeli więc Conrad rdzennie i nierozerwalnie kojarzy w swej naturze pisarskiej realizm w przedstawieniu z romantyzmem w ujęciu przedmiotu, znaczy to, że mamy do czynienia z naturą w założeniu pokrewną typowym naturom angielskim, jak do nas z arcydzieł literatury angielskiej przemawiają". Romantyzm Conrada ujawnia się w upodobaniu do postawy heroicznej jako problemu powieści i sięga głębiej, gdyż jest w nim coś z m i s t y c y z m u, przejawiającego się w poczuciu niezgłębionego tragizmu w procesie światowym. Ten tragizm romantyczny Conrada pozbawiony jest jednak domieszki humoru o typie angielskim, dlatego też przypomina smutek wielkich duchów słowiańskich. Dalsze momenty styczne tkwią w romantycznym idealizmie Conrada, w zbieżności angielskiej tradycji romantycznej z polską, szczególnie zaś w r y c e r s k o ś c i, jako przejawie tego idealizmu. Na ten duch rycerskości, którym tchnie cała osobistość Conrada, składają się pierwiastki angielskie i polskie, ideały rycerskości podobne, zrodzone z historycznego podobieństwa obu kultur rdzennie i zasadniczo szlacheckich. Lecz przejawy tego romantycznego

idealizmu są u Conrada specyficznie angielskie: męska stanowczość w służbie dla wyznawanych ideałów i z nią skojarzona szlachetna małomówność i wstydliwość wyjawiania uczuć dla nich, jakże dalekie od polskiej rozlewności lirycznej. Powściągliwość to cecha samej duszy Conrada, zbliżająca go do Anglików, mogąca też najprościej wytłumaczyć nam fakt, iż polskie uczucia narodowe nigdy nie przemówiły pełnym głosem w twórczości Conrada. Również wstręt C. do Rosji wypływa tak z głębi jego psychiki angielskiej, jak i ze wspomnień młodości. I tutaj bowiem zachodzi zbieżność analogiczna tradycji angielskiej i polskiej: imperjalizmy: brytyjski i rosyjski, to dwa przeciwne bieguny pod względem politycznym i kulturalnym.—Conrad „jak Shakespeare zawsze traktuje te same odwieczne, kardynalne zagadnienia natury ludzkiej. Nigdy nie apostołuje jak Tołstoj, nigdy naprawdę nie zdaje się przeżywać bólów najbliższego swego otoczenia, jak Żeromski". Majestatyczny i chłodny pozostaje na wyżynach jak Goethe.

Taki jest w zwięzłym skrócie bieg wywodów prof. Dyboskiego, mających nas przekonać, że Conrad był anima naturaliter Anglica, „że pewne rysy jego osobistego charakteru musiały go z całą siłą duchowego pokrewieństwa w stronę Anglji kierować". Teza znakomitego anglisty spotka się, sądzić można, z pewnemi sprzeciwami; zbyt bowiem może ostrem i krótkiem cięciem przeciąć usiłuje węzeł problemu conradowskiego. Brak miejsca nie pozwala na wytaczanie tutaj argumentów odmiennych i ich udowadnianie. Przecież nasuwa się wątpliwość, czy Conrad mógł sobie uświadamiać duchowe pokrewieństwo w stosunku do narodu zupełnie mu nieznanego? Czy dążył do Anglji nieświadomie? Następnie, jak pogodzić z tą tezą mnożące się głosy angielskie i obce, odkrywające w fenomenie Conrada coraz więcej rysów właśnie nie angielskich, np. w stylu (E. E. Kellett, A. P. Coleman) w charakterze i twórczości (G. Jean-Aubry, H. L. Mencken i in.). Niewiele ważą oczywiście słowa pamfletu Forda Madoxa Forda (J. C. A Personal Remembrance. London 1925), który oświadcza m. in. że C. „był typowym Anglikiem, lecz zarazem także typowym południowym Francuzem". Ale nadwyraz ważna jest np. enuncjacja samego Conrada w liście do Ch. Chassé z 31. I. 24. (Life a. let. II, 336), że to co w nim uważane jest jako nowe, określić można jedynie mianem „polskości". Wreszcie w samej rozprawie prof. Dyboskiego natrafiamy na argumenty, świadczące o odrębności Conrada od Anglików: „Conrad — czytamy, str. 4 — wśród znakomitych pisarzy angielskich nowych czasów jest pierwszym wielkim reprezentantem prawdziwego kosmopolityzmu: objawiającego się szczególnie w stosunku do ras kolorowych — nadewszystko do Malajów — w sposób, na jaki żaden Anglik się nie zdobył... Możnaby usiłować wywodzić jego rodzaj pisarski od wielkich r e a l i s t ó w nowoczesnej powieści obyczajowej, przedewszystkiem od Francuzów..." Następnie, tragizm romantyczny Conrada o podkładzie mistycznym bez przyprawy humoru, wyodrębnia autor (co wyżej zaznaczono) jako cechę obcą, nie angielską. A czyż łączenia realizmu z romantyzmem nie znajdujemy również w polskiej literaturze okresu romantycznego, którą Conrad wchłonął w siebie zanim się znalazł w orbicie angielskich wpływów literackich? Czy zaś w tym zwrocie do Angli nie odegrał również pewnej roli poprostu przypadek, który dopomógł Conradowi uciec na żaglowcu angielskim z atmosfery francuskiej, po doznanym zawodzie miłosnym i ciężkiej ranie w pojedynku?

Takie pytania snują się na marginesie pracy prof. Dyboskiego, przynoszącej wiele nowych myśli, głęboko i syntetycznie ujmujących twórczość Conrada, chociaż z konkluzją ostateczną autora nie zupełnie bylibyśmy w zgodzie.

Warszawa. *Piotr Grzegorczyk.*

B I B L J O G R A F J A

JOSEPH CONRAD W POLSCE

MATERJAŁY BIBLJOGRAFICZNE

Dla uwydatnienia w całej pełni tego literackiego zjawiska, tego niezwykłego fenomenu piśmiennictwa światowego, niezbędne jest polskie oświetlenie... Krytycy nasi winni zabrać się do studjów nad Conradem, duchem oryginalnym, odmiennym, nowym, zuchwałym wśród naszych wieszczów i pisarzów.

Stefan Żeromski (1925).

Zaiteresowanie badawcze Conradem wymaga rozejrzenia się w dotychczas dokonanej u nas nad nim pracy. Mają to ułatwić poniższe materjały. Nie roszczą sobie jednak pretensyj do zupełności i wyczerpania wszystkiego co o Conradzie w Polsce pisano, a świadomie pomijają rzeczy błahe i małej wartości. Wskazują też w pewnej mierze na publikacje obce, jeśli one materjał nam nieobojętny przynoszą. Ułożone rzeczowo i chronologicznie, powinny pozwolić odczytać zewnętrzny bieg Conradowych dziejów w ojczyźnie. Łaskawość p. Anieli Zagórskiej, znakomitej tłumaczki Conrada, — i uwagi p. Witolda Chwalewika, w niejednem je dopełniły, za co głęboką winienem Im wdzięczność.

PRZEKŁADY PISM CONRADA

U w a g a: Wartość przedwojennych przekładów swych utworów ocenił sam C. najlepiej w 1914 r. w odpowiedzi na zapytanie M. Dąbrowskiego [zob. № 96.], — czy lubi przekłady swoich dzieł na polski język? — Och, nie! — odrzekł — Nie tylko, że nigdy mnie nie zapytano o pozwolenie tłumaczenia, ale moje rzeczy tak źle tłumaczą na polski. Prawdziwą mękę mi sprawia czytać w moim języku rodzinnym rzecz, napisaną po angielsku. Przecie ja polski i francuski znam dobrze. A tłumaczenia polskie są tak niedbałe tak nieuczciwe w stosunku do treści. O ile francuskie są bez grzechu, polskie zawsze mnie irytują. O to naprzykład ten odcinek w dzienniku lwowskim. Horendalny, wprost horendalny! Nawet Malajczyk przetłumaczono na mały murzyn". — Sytuacja uległa dopiero gruntownej zmianie po wojnie. Ukazujące się obecnie przekłady w Wydaniu zbiorowem, nakładem Domu Książki Polskiej (DKP) — godne są Conrada. Największy trud przepolszczenia tych dzieł podjęła Aniela Zagórska, kuzynka Conrada. Zasługę jej potrafiono ocenić. Pomnik wystawił Conradowi przekładem „Murzyna" Jan Lemański.

1. W y g n a n i e c. [An Outcast of the Islands]. Powieść. Przekład z angielskiego M[arji] G[ąsiorowskiej]. Tygodnik Mód i Powieści, Warszawa 1897 (styczeń — czerwiec) nr. 1 — 26. [Część III i IV utworu znacznie skrócona. Zob. Dürr.]

2. L o r d J i m, przekład z ang. z przedmową Emilji Węsławskiej. T. I-II, s. 159; s. 157. Warszawa 1904. Bibljoteka Dzieł Wyborowych nr. 352, 353. Rec: Nowa Reforma 1905, 57; Włast [Komornicka M.] Chimera 1905, t. 9. 333-4 [...„Ojczyzna rozszerzyła się tu na cały glob..."]

3. T a j n y a g e n t. Przekład z angielskiego M[arji] G[ąsiorowskiej]. T. I - II. Warszawa 1908, s. 137, s. 151. Bibljoteka Dzieł Wyborowych.

4. J a n k o G ó r a l [Amy Foster]. Przełożyła Marja Bunikiewiczowa. Lwów 1914, s. 52. Wyd. Tow. im. P. Skargi.

5. P o w r ó t. Powieść. Przełożyła z ang. Marja Bunikiewiczowa. Gazeta Wieczorna, Lwów, czerwiec, lipiec 1914.

6. W o c z a c h Z a c h o d u. Powieść. Przekład z angielskiego przez H. J. P. [Hajota Pajzderska]. Świat, Warszawa 1917, 1-43.

7. B a n i t a. [An Outcast of the Islands] Powieść. Wydanie nowe w przekładzie z angielskiego i wstępem Wili Zyndram - Kościałkowskiej. Lwów [1919]. Wyd. Instytut Wyd. „Lektora", s. 326. Okładkę projektowała art. mal. W. Korzeniowska. Rec: Czas 1919, 123.

8. P r o w o k a t o r. [„W oczach Zachodu"]. Tłum. z ang. dr. F. Nossig. Lwów. Tow. Wydawnicze 1920, 8^{0}, s. 185.

9. S z p i e g. Opowieść ironiczna. [Ze zbioru „A Set of Six", bez nazwiska tłum., zapewne W. Horzyca.] Naród 1920, paźdz., listopad, Dodatek Liter.-Artyst.

10. M u r z y n z z a ł o g i „N a r c y z a" przekład J. Lemańskiego. Nowy Przegląd Literatury i Sztuki 1920, T. I, II. i 1921, t. I. — Zob. № 16.

11. Il Conte, opowiadanie patetyczne. Przeł. Leon Piwiński. Przegląd Warszawski 1922, nr. 14. [ze zbioru A Set of Six].

12. Los. Powieść. [Tłumacz nie podpis. (p. Beaupré?)] Czas 1921, nr. 177—298, 1922, 1 n.

13. Fantazja Almayera (Almayer's Folly). Opowieść o wschodniej rzece. Z upoważnienia autora tłumaczyła z ang. Aniela Zagórska. Zdobił graf. T. Gronowski Warszawa [1922 antedat.] 1923. s. XXXII, 211. Pisma wybrane z przedmową Stef. Żeromskiego.

14. — Toż wyd. II. Wa. 1924. Ib.

15. — Toż pt. Szaleństwo Almayera. Wyd. III. Wa. 1928, s. XXXI, 220. DKP. Pisma zbiorowe t. I. Rec.: Dąbrowska M. Bluszcz 1923, 35; Górski K. Gaz. Administr. r. 1924, 24; Grabowski Z. Akademik 1923, 12 n. i Kurj. Pozn. 1929, 52; Jankowski Cz. Słowo 1924, 99 n; Kisielewski Z. Robotnik 29. I. 1923; Przegl. Warsz. 1923, 18; Siedlecki A. Rzeczplita 26. I. 23; Skwarczyński A. Droga 1923, 1; Zagórski A. Kurj. Pol. 1. III. 23.

16. Murzyn z załogi Narcyza. (The Nigger of the Narcissus). Opowiadanie o kasztelu. Tłumaczył z ang. Jan Lemański. Przedmowę przełożyła A. Zagórska. Zdobił graficznie T. Gronowski. Warszawa 1923. Ignis. Pism wybranych t. III. [Przekład ten uległ znacznym poprawkom i zmianom w stos. do drukowanego w Nowym Przegl. Lit. zob. № 10].

17. — Toż wyd. II. Wa. 1928, s. 217. DKP. Pisma zbiorowe C. t. III. Rec.: Chwalewik W. Gaz. War. 1928, 287; Górski K. Gaz. Administr. 1924, 22, 23; Kisielewski Z. Robotnik 24. VII. 1923; Kołaczkowski S. Droga 1928. s. 61; Noskowski W. Kurj. Pozn. 1928, 506.

18. Anarchista. Przeł. Tad. Pułjanowski. Przegląd Warszawski 1923, R. 3. nr. 18. [Ze zbioru: A Set of Six.] Zob. № 20.

19. Tajny agent. Dramat w 4 obrazach [premjera: „Bagatela" w Krakowie 26.III. 1923 r.] Rec.: Gruszecka A. Przegląd Warszawski 1923, nr. 23; M. B. Czas 1923, 71.

20. Sześć opowieści (A Set of Six). Tłumaczyli z angielskiego: Wilam Horzyca (Gaspar Ruiz, Szpieg, Bestja, Pojedynek), Leon Piwiński (Il Conte), Tad. Pułjanowski (Anarchista). Zdobił graf. T. Gronowski. Warszawa 1924, s. 310. Ignis. Pism wybranych t. XI. Rec: Górski K. Gaz. Administr. 1924, 25; Kisielewski Z. Robotnik 20.I. 1924.

21. — Toż wyd. II. Wa. 1925, s. 310. ib.

22. Między lądem a morzem. Tłumaczyli z ang.: J. Lemański: Uśmiech szczęścia; J. B. Rychliński: Ukryty sojusznik; A. Zagórska: Freja z Siedmiu Wysp — i Przedmowa. Zdobił graf. T. Gronowski. Wa. 1924, s. IX, 267. Ignis. Pisma wybrane t. XIII.

23. — Toż. wyd. II poprawione. Wa. 1929, s. 283. DKP. Pisma zbiorowe C. t. XV. Rec: Breiter E. Wiad. Lit. 1924, 33; Jędrzejewicz Janusz. Droga 1924, 8; Kisielewski Z. Robotnik 1924, 239.

24. Geografja i niektórzy jej twórcy [Geography and some Explorers — w zbiorze pośmiertnym: Last Essays 1926]. Naokoło Świata 1924, nr. 1.

Piotr Grzegorczyk.

(Dokończenie w następnym numerze Ruchu Literackiego).

PRENUMERATA RUCHU LITERACKIEGO:

Roczna (zesz. 1—10) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 14.—; z przesyłką pocztą: w Warszawie, na prowincji i zagranicą zł. 16.— (Półroczna (zesz. 1—5, I-e półr. wzgl. 6—10, II-e półr.) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 7.—; z przesyłką pocztą j. w. zł. 8.— Cena numeru pojedyńczego zł. 1.50. Prenumeratę można wpłacać do P. K. O. na Konto № 12500.

WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF REDAKTOR: BRONISŁAW GUBRYNOWICZ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. ZGODA 12. TEL. 778-14.
Korespondencje, dotyczące spraw redakcyjnych należy przesyłać pod adresem Sekretarjatu PIOTR GRZEGORCZYK, Warszawa, ul. Kromera 4 m. 18.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.